Rok I. Kraków, lipiec 1910. Nr. 7

BIULETYN

POLSKIEGO TOWARZYSTWA EMIGRACYJNEGO

Miesięcznik poświęcony sprawom wychodźtwa, wydawany w Krakowie 30-go każdego miesiąca pod redakcyą Józefa Okołowicza.

Adres redakcyi i administracyi: Kraków, ul. Radziwiłłowska 21.

W obronie wychodźców.

Polskie Towarzystwo Emigracyjne wdrożyło akcyę w doniosłej sprawie. Jeśli się powiedzie — skutki jej ochronią dziesiątki tysięcy ludzi od ciężkich strat i bolesnych zawodów.

Oto główne ustępy z petycyi P. T. E., wysłanej w dniu 25. bm. do ministerstwa spraw wewnętrznych i ministerstwa handlu w Wiedniu:

»Terenem do którego skierowuje się główny prąd wychodźtwa zamorskiego ze wszystkich krajów monarchii Austro-Węgierskiej są Stany Zjednoczone Ameryki północnej. W myśl praw, obowiązujących w Stanach Zjednoczonych, do wylądowania dopuszczani są tam jednak tylko tacy imigranci, którzy posiadają odpowiednie kwalifikacye fizyczne i moralne i nie nasuwają obaw, iż po wylądowaniu staćby się mogli ciężarem dla dobroczynności publicznej. Przepisy, dotyczące tych kwalifikacyi nietylko podlegają częstym zmianom, lecz dają szerokie pole amerykańskim organom wykonawczym do zupełnie subjektywnego ich interpretowania. Wskutek więc tego, nigdy prawie emigrant, opuszczający kraj rodzinny, nie ma pewno-

ści, czy otrzyma pozwolenie na wylądowanie w Ameryce.

»Według ostatniego zestawienia, ogłoszonego przez Departament Handlu i Pracy, Biuro Imigracyi i naturalizacyi, w miesiącu maju (Department of immigration and naturalization. — April Immigration Bulletin.) liczba imigrantów, którym odmówiono prawa wylądowania w Stanach Zjednoczonych wynosiła od lipca 1909 do lutego 1910 włącznie 13775. W tej liczbie było:

Kroatów i Słoweńców	363
Dalmatczyków, Bośniaków i Herzogowian	45
Niemców	484
Żydów	1043
Włochów	1491
Litwinów	241
Węgrów	155
Polaków	1164
Rumunów	238
Rusinów	504
Słowaków	245

(Statystyka powyższa podaje tylko narodowość deportowanych imigrantów, nie wymieniając ich przynależności państwowej, łatwo jednak domyślić się, iż znaczna część ich pochodzi z monarchii austro-węgierskiej.)

»Z liczby 13 775 deportowanych w okresie tych 8 miesięcy 1898 imigrantów nie otrzymało pozwolenia na wylądowanie z powodu zaraźliwych chorób, 8850 z powodu prawdopodobieństwa, iż staćby się mogli ciężarem dla dobroczynności publicznej, wreszcie 999 — ponieważ posądzeni zostali o poprzednie zakontraktowanie przez pracodawców amerykańskich (»contract laborers«).

»Wśród 1898 imigrantów deportowanych z powodu »chorób zaraźliwych« u olbrzymiej większości znale-

ziono trachomę. Jest to choroba, co do której dyagnoza w sferach lekarskich nie została jeszcze definitywnie ustalona. Rozmaite cierpienia oczów, które przez lekarzy europejskich uważane są za przejściowe, niezaraźliwe, łatwouleczalne, lekarze amerykańskich urzędów imigracyjnych uważają za trachomę. Skutki tego są takie, iż wychodźca, którego w Europie badało kilku lekarzy i uznało za zdatnego do wyjazdu, spotyka się po przybiciu do brzegów amerykańskich z nieprzychylną opinią lekarza amerykańskiego i wbrew wszelkim swym oczekiwaniom skazany bywa na powrót do Europy i połączone z tym straty. Wychodźcy z Galicyi, zanim w jednym z portów wsiądą na okręt, badani bywają zazwyczaj przez trzech lekarzy w trzech rozmaitych miejscowościach, a mianowicie: 1) w miejscu swego pobytu lub w miejscowości, gdzie znajduje się biuro podróży, w którem karty okrętowe nabywają, 2) w Mysłowicach, przez lekarza pogranicznej stacyi kontrolnej, 3) w porcie przez lekarza kompanii okrętowej. Pomimo to lekarze urzędów imigracyjnych amerykańskich znajdują wśród galicyjskich wychodźców znaczny procent chorych »na trachomę«. Wszelkie usiłowania interesowanych lekarzy europejskich, by porozumieć się z kolegami amerykańskimi co do dyagnozy trachomy i wydawane w tym kierunku odezwy nie odniosły dotychczas żadnego skutku.

»W liczbie 8850 deportowanych z powodu prawdopodobieństwa zostania ciężarem dla dobroczynności publicznej (»likely to become a public charge«) olbrzymia większość nie mogła wykazać się posiadaniem przy sobie funduszów, według zdania egzaminującego urzędnika wystarczających na utrzymanie aż do chwili znalezienia pracy. Otóż i pod tym względem wymagania imigracyjnych władz amerykańskich bynajmniej nie zostały ściśle określone. Obecnie wymaga się przeważnie by emigrant, po przybyciu do jed-

nego z portów Stanów Zjednoczonych, posiadał przy sobie przynajmniej 25 dolarów w gotówce oraz bilet kolejowy do miejsca przeznaczenia. Z reguły tej atoli czynione są aż nazbyt często wyjątki stosownie do subjektywnej opinii, jaką w każdym poszczególnym wypadku wyrabia sobie egzaminujący urzędnik amerykański odnośnie do pytania, czy dana kwota wystarczy imigrantowi na utrzymanie aż do chwili znalezienia pracy. Jeśli w niektórych razach wystarcza kwota znacznie mniejsza, to w innych wypadkach nawet posiadanie sumy większej nie usuwa »prawdopodobieństwa zostania ciężarem publicznym«. I pod tym więc względem imigrant europejski. przystępując do odbycia podróży do Ameryki, najczęściej nie ma zupełnej pewności, czy uda mu się otrzymać pozwolenie na wylądowanie w Ameryce.

»Ta sama niepewność dotyczy zakazu przyjazdu do Stanów Zjednoczonych robotnikom zakontraktowanym w Europie przez amerykańskich pracodawców Zdaje się też nie ulegać wątpliwości, że wśród wspomnianych wyżej 999 imigrantów deportowanych pod zarzutem naruszenia prawa o kontraktowaniu robotników (»Contract Labor Law«) większość imigrantów żadnych kontraktów z amerykańskimi pracodawcami w dosłownem tego słowa znaczeniu nigdy nie zawierała i zarzut ten dał się do nich odnieść tylko w drodze przypuszczeń i domysłów. Wystarczy wspomnieć, iż w komunikatach rozesłanych do biur pośrednictwa pracy w marcu b. r. komisarz imigracyjny na Ellis Island wspomina, iż imigranci, którzy posiadają adresy tylko tak zw. »bankierów«, spodziewać się mogą przytrzymania i odesłania z powrotem do Europy, ponieważ adresy takie podawane bywają często w celu uchylania się od prawa o kontraktach robotniczych. Podobny los oczekuje nieraz imigrantów, którzy posiadają adresy tylko przytułku imigracyjnego w Nowym Jorku lub też jakiego

biura pośrednictwa pracy. Dyrektorowi naszego Towarzystwa, p. J. Okołowiczowi, gdy zwiedzał w maju b. r. w Nowym Jorku Urząd informacyjny dla imigrantów (»Information Office for Imigrants«) szef tego urzędu oświadczył, iż immigranci, którzyby opuszczali kraj rodzinny w Europie, posiadając adres tegoż urzędu, narażeni są na prawdopodobieństwa deportacyi pod zarzutem pośredniego naruszenia prawa o kontraktowaniu robotników.

»Przytoczyliśmy poniżej kilka cyfr i przykładów, by stwierdzić ryzyko, na jakie naraża się wychodźca, europejski, postanawiający w celach poprawy swego bytu udać się do Stanów Zjednoczonych. Trzeba naocznie widzieć lęk tych nieszczęsnych ludzi podczas długiej podróży morskiej, trzeba widzieć rozpacz tych, których dotknął wyrok deportacyi, by ocenić doniosłość tego ryzyka. Wszak wiele z tych ludzi, wybierając się na drugą półkulę, stawia na karcie cały swój los, całe swe mienie. Niejeden jedzie za pożyczone pieniądze, niejeden podróżą tą ratować chce zagrożony byt swej rodziny, swych najbliższych, a dla każdego z tych, których nie chce wpuścić tak gościnna do niedawna ziemia amerykańska, deportacya oznacza nietylko zmarnowanie poważnej kwoty pieniężnej wydanej na podróż i stratę czasu — nieraz paru miesięcy, nie tylko mnóstwo przykrości połączonych z pobytem na Ellis Island i przymusową podróżą powrotną, lecz także zupełne zniweczenie poczynionych planów i klęskę moralną.

Oczywiście — rząd amerykański ma zupełne prawo rozstrzygać, jakich przybyszów uważa za pożądanych dla swego państwa, a jakich wpuścić doń nie chce. Chodzi jednak o to, by wyrok, jaki w kwestyi tej wydaje, nie był w skutkach swych zbyt srogim ciosem dla dotkniętych nim tysięcy jednostek i ich rodzin.

»Mając wszystko to na widoku, Polskie Towarzystwo Emigracyjne w Krakowie postanowiło wszcząć akcyę, zmierzającą do wyjednania u rządu Unii północno amerykańskiej zmiany dotychczasowych postanowień w tym duchu, by badanie kwalifikacyj imigrantów odbywać się mogło jeszcze przed odbyciem przez nich podróży morskiej t. j. w portach europejskich. W tym celu mógłby rząd Stanów Zjednoczonych ustanowić w głownych portach Europy swe komisye imigracyjne, które przeprowadzałyby tam wszystkie te badania, jakie obecnie odbywają się na Ellis Island w Nowym Jorku oraz innych portach Unii. W ten sposób ci wychodźcy, jakich przedstawiciele rządu amerykańskiego dla tych lub innych powodów uznaliby za niepożądanych przybyszów, zasługujących na deportacyę, nie byliby narażeni na odbywanie napróżno podróży mozolnej i na połączone z nią koszta, stratę czasu i trudy. Przeniesienie badania wychodźców europejskich na teren europejski byłoby wskazane, oprócz wymienionych wyżej dla dwóch jeszcze następujących powodów: 1) ponieważ niekiedy rozporządzenia urzędu imigracyjnego, zawierające nowe obostrzenia dla imigrantów, ukazują się w chwili, gdy ci, których mogą one dotyczyć, znajdują się już na pełnem morzu i podlegają następnie deportacyi wskutek nieznajomości przepisów, o których wydaniu w żaden sposób wiedzieć nie mogli; 2) ponieważ w porcie nowojorskim, do którego skierowuje się główny kontygent imigrantów europejskich, liczba podlegających badaniom przybyszów bywa niekiedy tak znaczna, iż odnośny personal urzędniczy nie może podołać swemu zadaniu i działając w wielkim pośpiechu, łatwo ulegać może rozmaitym pomyłkom, tem łatwiejszym, że jak wiemy o tem, nie wszyscy tłomacze na Ellis Island dość biegle władają rodzinnym językiem wychodźców, zeznania których mają tłomaczyć na język angielski. Niedo-

stateczność obecnego personalu urzędniczego przyznaje sam komisarz imigracyjny na Ellis Island, pan William Williams, w swem sprawozdaniu rocznem z dnia 16 sierpnia 1909, przedłożonem generalnemu komisarzowi dla spraw imigracyi w Waszyngtonie.

»Przeciw zaś zaprowadzeniu urzędowania komisyj imigracyjnych Stanów Zjednoczonych w portach europejskich nie może przemawiać żadna przeszkoda dość ważna, by dostatecznie uzasadniała potrzebę narażania tychże ludzi na poważne straty, jeśli nie na zupełne złamanie egzystencyi.«

»Sądzimy, że rząd amerykański tem łatwiej zgodzić się może na przeniesienie badań imigrantów z portów swych do portów europejskich, ile że przysługuje mu prawo deportowania nawet takich imigrantów, którzy otrzymali już pozwolenie lądowania i z pozwolenia tego zrobili użytek. Że prawo to bywa stosowane dość często, świadczy liczba 1783 wypadków podobnej deportacyi, jakie zdarzyły się w przeciągu 8 miesięcy od lipca 1909 do lutego 1910 włącznie; w oficyalnej statystyce amerykańskiego urzędu imigracyjnego poświęcana im jest specyalna rubryka.

»Polskie Towarzystwo Emigracyjne w głębokiem przeświadczeniu, że chodzi tu o sprawę doniosłą, postanowiło zwrócić się z odpowiednią petycyą do prezydenta Stanów Zjednoczonych oraz wydać odezwę do wszystkich towarzystw w Europie, zajmujących się opieką nad wychodźcami, wszystkich humanitarnych towarzystw i organizacyj w Ameryce, których sprawa imigracyi bliżej interesuje, lub wogóle wzrusza ludzka niedola, do całej szlachetnie myślącej prasy amerykańskiej, a wreszcie do wszystkich europejskich i amerykańskich kompanij okrętowych obsługujących emigrantów, z zachętą do wysyłania podobnych petycyj do rządu amerykańskiego.

I nie wątpimy, iż połączona ta akcya odniesie

skutek i że względy ludzkości skłonią rząd Stanów Zjednoczonych do zapobieżenia, by tysiące i tysiące nieszczęsnych wychodźców i nadal — jak się to dzieje obecnie — nie spotykał surowy, w skutkach swych niemiłosierny wyrok jako kara za własną ich nieświadomość lub też błędy albo i złą wolę agentów emigracyjnych.

»Aby zainicyonowana przez nas w tym względzie akcya, tem rychlej i tem zupełniej odnieść mogła pożądany skutek, niezbędne jest nam poparcie wysokiego rządu, który w pierwszej mierze powołany jest do opieki nad obywatelami swego państwa. W tym też celu zwracamy się niniejszem z prośbą:

»Wysokie c. k. Ministerstwo raczy sprawą tą zainteresować wspólne c. i k. Ministerstwo spraw zewnętrznych i skłonić je do poczynienia u rządu Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej starań, by badanie obywateli austro-węgierskich udających się w celach zarobkowych do Stanów Zjednoczonych odnośnie do kwalifikacyj, uprawniających do wylądowania, dokonywane było przez delegowane do tego amerykańskie rządowe komisye imigracyjne jeszcze w Tryeście, Fiume i tych innych głównych portach europejskich, na które przeważnie kieruje się ruch wychodźczy z Austro-Węgier«. *(Ok.)*

Mowa posła Germana

w parlamencie wiedeńskim.

Obok przyczyn ogólnych wywołujących w czasach obecnych emigracyę, jak rozdrabnianie się gruntów, wysokie ceny gruntów, przyrost ludności, nizkie płace robocze, brak przemysłu krajowego, wpływają nadto na zjawisko to w Galicyi przyczyny specyalne,

które, jakkolwiek działanie ich teraz się zmniejszyło, spowodowały, że Galicya zajmuje pod względem wychodźtwa zamorskiego pierwsze miejsce w Austryi. Nie czas jest wszakże filozofować na temat wychodźtwa, stwierdzamy fakt istniejący, z którym liczyć się trzeba.

Jeśli przyjrzymy się zmiennym cyfrom, przedstawiającym ruch wychodźczy, na podstawie źródeł zagranicznych, dostrzeżemy jedno stałe zjawisko, a mianowicie, że udział procentowy przypadający na Galicyę, tj. na Polaków i Rusinów, pozostaje w stosunku do innych krajów — zawsze ten sam i że jest on najmniej trzy razy większy od procentowego stosunku ludności Galicyi do ludności całej monarchii. Tyle to siły roboczej przepada dla kraju, najczęściej bezpowrotnie; nie mówiąc już o stracie sił duchowych, przedsiębiorczości i żywotności naszego ludu. Zestawiwszy ubytek ludności spowodowany przez nieustannie niemal panujące w kraju epidemie, dojdziemy do wniosku, że jest on jeszcze mniejszy w porównaniu z utratą ludności, wywołaną emigracyą. Epidemie chorób panujących bywają atoli zwalczane, nieraz z godną uznania energią, lecz na polu wychodźtwa widzimy dotąd bezczynność i wprost bezradność nie do pojęcia.

Nie należę bynajmniej do tych, którzy zapoznają dobre strony wychodźtwa — zaznaczam najwyraźniej, że lud nasz znalazł w niem cenną szkołę życia, w której rozwijają się jego wrodzone zdolności, szkołę przyczyniającą się do osiągnięcia świetnych nieraz rezultatów, lecz ów dobór społeczny, dający jednostkom szczęśliwszym nieraz wielkie zdobycze, pociąga za sobą zbyt wielkie ofiary w ludziach, w dobrobycie dziesiątków tysięcy tych, którym los nie sprzyjał. Niezliczone ofiary wychodźtwa, obywatele państwa, mieliby atoli prawo domagać się, by im w ojczyźnie daną była możność rozwoju sił fizycznych i ducho-

wych, lub też, o ileby to było narazie niemożliwe, by państwo do którego należą, nie zniewalało ich do opuszczania jego granic, bez pomocy i rady, by nie przyglądało się bezczynnie wynaradawianiu się ich i zobojętnieniu wobec kraju rodzinnego, by dalej opiekuńczą swą działalnością objęło nietylko nieletnich i kaleki, lecz także ludzi zdrowych, by wychodźców nie traktowało jako armię stutysięczną, która znakomicie uzbrojona przekracza granicę państwa, by zniknąć bezpowrotnie.

Jeśli przyjrzymy się wychodźcom z innych krajów, którzy w nowej ojczyźnie nigdy o swoim kraju rodzinnym nie zapominają i związku z nim nie zrywają — nie będziemy mogli oprzeć się uczuciu żalu i poważnej troski. Wychodźtwo włoskie do krajów zamorskich nie wynaradawia się zupełnie, nasi zaś wychodźcy są zazwyczaj dla ojczyzny naszej straceni; pozostaje wobec tego faktu jedynie ta smutna pociecha, że w większej jeszcze mierze stosuje się to do emigracyi z Rosyi.

Wobec braku dokładnej statystyki, trudno jest podać liczbę emigrantów.

Na podstawie zestawień źródeł obcych można przyjąć liczbę emigrujących na 150,000 do 400,000 obywateli, którzy w ciągu roku emigrują do Ameryki i z Austro-Węgier; z liczby tej przypada na Galicyę w przybliżeniu 30000 do 150000 ludzi.

Czem objaśnić się dadzą te ogromne wahania się tych liczb? Usiłowano wytłomaczyć je stosunkami panującymi w kraju, a mianowicie w ten sposób, że w latach zubożenia ludności, spowodowanej nieurodzajem, liczba wychodźców wzrasta, natomiast inni starali się dowieść, że właśnie w latach dobrych wychodźtwo się wzmaga, łatwiej bowiem wówczas o gotówkę.

Obydwa objaśnienia zgodne są z prawdą albo

też obydwa jej się sprzeciwiają, w rzeczywistości bowiem stan żniw nie wpływa na wychodźtwo z kraju, a zależnem ono jest przedewszystkiem od popytu na kolonistów i robotników w krajach zamorskich, od gorliwych, nieszczędzących ofiar pieniężnych rządów tamtejszych oraz przedsiębiorstw, od interesów towarzystw przewozowych oraz od starań i ruchliwości czerpiących stąd swoje dochody agentów koncesyonowanych, a także, niestety, niekoncesyonowanych, a zwłaszcza subagentów, którzy jedynie z punktu widzenia kupieckich zysków prowadzą ten nowoczesny handel ludźmi: oni to wszyscy są głównemi sprężynami ruchu wychodźczego. Że w wielu wypadkach pomijane bywają wszelkie względy moralne, że agenci przy pomocy najniegodziwszych nawet środków starają się zdobyć prowizyę przypadającą im »od głowy« to jest, niestety, publiczną tajemnicą. —

Następne liczby niechaj posłużą do wyświetlenia tego, w jakich rozmiarach uprawianem bywa zawodowo pośrednictwo emigracyjne w Galicyi. W kraju tym istnieje 7 biur koncesyonowanych, następnie Towarzystwo Austro-Amerykana, któremu przysługuje prawo ustanawiania w całym kraju agentów, których posiada obecnie 60, dalej 5 zagranicznych towarzystw przewozowych, mających swych przedstawicieli w stolicy kraju, 20 koncesyonowanych biur pośredniczenia służby, 20 publicznych biur pośrednictwa pracy, utworzonych na podstawie ustawy z roku 1904, a więc ogółem 102 agencyj i biur. Do tego dodać należy jeszcze owych pośredników z zagranicy, którzy złożyli dowody, że przedsiębiorstwa przemysłowe, gospodarstwa rolne, kopalnie potrzebują istotnie rąk roboczych do swoich zakładów przemysłowych i gospodarstw, a którzy to pośrednicy przekraczają nieraz dane im prawo najmowania robotników, dalej wymie-

nić tu wypada owych pośredników, którym pozwolono przeprowadzać partye robotnicze do Prus z Królestwa Polskiego i Rosyi, a którzy nadużywają tego prawa, rzekomo uzupełniając tylko w Galicyi zebrane tamże partye robotników. Wreszcie nie możemy tu pominąć owej niezliczonej, a niedającej się z łatwością wyśledzić, armii tajnych agentów, działających w ukryciu, a którzy pod pozorem pośrednictwa pracy uprawiają bezwstydny handel dziewczętami, ową największą hańbę naszego stulecia.

Po bezczynności trwającej dziesiątki lat, bezczynności prawie niezrozumiałej po wynikach smutnej pamięci procesu wadowickiego, postarało się namiestnictwo galicyjskie położyć kres owym praktykom, rozporządzeniem z dnia 23 listopada 1909; kilku agentów spotkały nadto dotkliwe kary. Jestto pierwszy krok w tej mierze zasługujący na najwyższe uznanie, po którym oby nastąpiły dalsze ostre zarządzenia przeciwko subagentom. Byłoby bardzo pożądanem, by wszyscy agenci podlegali surowej kontroli, by nie czyniono w tym względzie wyjątków dla agentów towarzystw okrętowych subwencyonowanych przez państwo, by przeciwnie liczni ajenci tych towarzystw raczej jeszcze ściślejszej podlegać musieli kontroli ze strony państwa.

Nie troszczą się bynajmniej o to agenci, jaki los czeka później emigrantów. Najczęściej oddawani oni bywają dla dalszego transportu innym osobom od których, wobec nieznajomości języka i obcego otoczenia, zupełnie są zależni, a które ich nieraz niemiłosiernie wyzyskują, jeszcze przed dostaniem się ich na okręt. Brak tu wszelkiej opieki państwowej nad tymi biedakami, a opieka taka bez trudności urządzićby się dała w miastach portowych.

Cierpienia wychodźców podczas podróży morskiej, trwającej na niektórych liniach nadmiernie długo,

opisywano już nieraz i bardzo dokładnie; wspomnę o tem tedy w kilku tylko słowach.

Jasnem jest, że wobec parowców przewożących wychodźców nie można stawiać wymagań zbyt wygorówanych, lecz można żądać, by ludzie zwerbowani jako pasażerowie, którzy wszakże stanowią podstawę materyalnego rozwoju towarzystwa, znaleźli przynajmniej przyzwoite pomieszczenie, byli odpowiednio odżywiani i otrzymywali pomoc lekarską, w razie potrzeby. Oczywiście, że wówczas zmiejszyłyby się zyski tych towarzystw, lecz wkroczenie energiczne rządu, mogłoby stosunkom obecnie panującym kres położyć. Najlepszym środkiem przysporzenia frekwencyi subwencyonowanej linii dla wychodźtwa do południowej Ameryki, byłoby właśnie ściśle przestrzegane żądanie, by na linii tej warunki przewozowe były o wiele lepsze od warunków na innych liniach. Lecz tak się nie dzieje.

Z chwilą wylądowania rozpoczynają się dalsze męki i cierpienia emigrantów. Los ich nie jest zupełnie jednakowy w różnych państwach amerykańskich. Zawiodłoby mnie to zadaleko, gdybym chciał tu przedstawić, jak traktowani są wychodźcy nasi w poszczególnych krajach. Naraziłbym się na podejrzenie, że przemawiam jako ajent jednego z nich, gdybym go wyróżniał, na niekorzyść innych. Zresztą stosunki krajów osiedleńczych znane są nietylko ze złudnych przedstawień i pochwał ajentów, lecz także z opisów naocznych świadków, którzy je krytycznie oświetlili; i byłoby tylko do życzenia by ludność emigrująca poznać je mogła w świetle prawdy, ku czemu służyćby mogły publiczne ogłoszenia na stacyach granicznych naszej monarchii, o ile oczywiście ogłaszaneby były w odnośnych językach krajowych. Przyznać trzeba, że rząd w niektórych, nader rzadkich, coprawda, wypadkach odstąpił od swej zasady laissez-

faire, ogłosiwszy ostrzeżenia dla wychodźców przed grożącemi im niebezpieczeństwami. Lecz to jest stanowczo zamało. Konsulowie nie znajdują czasu na przesłanie owych ostrzeżeń.

Nie będę się zatrzymywał nad emigracyą zarobkową t. zw. robotników sezonowych, chociażby dlatego, że już wspomniałem o najważniejszych złych jej stronach w interpelacyi mej wniesionej w tej kwestyi przed paru miesiącami, na którą dotąd jeszcze nie było odpowiedzi. Miałbym nadmienić to tylko, że przy tego rodzaju wychodźcach, których wszakże państwo nie traci, należałoby baczniejszą zwrócić uwagę na moralność młodocianych robotników — obojga płci i że w myśl ustaw zasadniczych należałoby szczególną uwagę zwrócić na osoby niżej lat 24, usuwające się podczas robót sezonowych z pod opieki rodziców, a nawet wbrew woli tych ostatnich roboty sezonowe przyjmujące. Zwracam przytem uwagę na środki zaradcze proponowane przez radcę sądu krajowego Franciszka Sypowskiego w broszurce wydanej w roku 1908.

Wysoka Izba zajmuje się już od lat 20-tu sprawą wychodźtwa, oczywiście z małym dotychczas skutkiem. Na 8 interpelacyj wzniesionych przez Polaków, Rusinów Niemców, Czechów i Słoweńców w epoce od 1889-1893, odpowiedziano zaledwie na 2 interpelacye, później rząd otoczył się nieprzenikliwem milczeniem. Również bezskuteczną była rezolucya komisyi budżetowej w sprawozdaniu budżetowem za rok 1895, żądająca, by rząd uregulował sprawę wychodźtwa i zarządził to, co jest potrzebne dla opieki nad wychodźcami.

Na wniosek posła Pinińskiego, Wielowiejskiego Rutowskiego i tow. przyjętą została ustawa przeciwko nakłanianiu do emigracyi przy pomocy kłamliwych przedstawień. Ustawa ta ogłoszoną była w dzienniku ustaw państw. dnia 27 stycznia 1897 — lecz niestety — nie przyniosła spodziewanych korzyści a to z powodu

niewłaściwej definicyi pojęcia wychodźtwa, użytego w sprawozdaniu komisyi budżetowej, dzięki czemu łatwo było obrońcom ajentów, pociągniętych do odpowiedzialności sądowej, uwolnić swych klientów od wszelkiej winy.

W mowach tronowych z roku 1897 i 1901 zapowiedziane były wprawdzie projekty ustaw, mających na celu unormowanie wychodźtwa, lecz mimo wielokrotnych upominań się posłów galicyjskich i bukowińskich, projekt taki dotąd się nie pojawił.

W roku 1902 postawił poseł Dr. Licht wraz z innymi posłami wniosek o wydaniu ustawy ochronnej dla wychodźców, sporządzaniu statystyki wychodźczej, ustanowieniu specyalnego urzędu dla spraw wychodźtwa oraz wielu urządzeń, dobro wychodźców mających na celu — urządzeń których dotąd jeszcze niema. Po długich naradach w komisyi społecznej, wniósł nareszcie rząd projekt ustawy, który był następnie w czerwcu 1905 przedmiotem obrad ankiety pozaparlamentarnej. Rezultatem tych obrad było to, że przedmiot ten nie wszedł już później na porządek dzienny parlamentu, a to dlatego, że w skład członków ankiety wchodzili głównie przedstawiciele ajentów oraz towarzystw okrętowych, w tym celu zaproszonych.

Mimo ponownych interpelacyi posłów Battaglii, Abrahamowicza i innych w roku 1907 nic zgoła w kwestyi tej nie uczyniono; powiadają tylko, że rząd przygotowuje nowy projekt ustawy.

Inne natomiast państwa, biorące mniejszy o wiele udział w wychodźtwie, wydały już znakomite ustawy usuwające zło związane z emigracyą, a mianowicie związkową ustawę szwajcarską z 22 marca 1888, ustawę niemiecką z 9 czerwca 1897, wreszcie znakomitą ustawę włoską z 21 stycznia 1901.

Na Pearl Street i Ellis Island.

II.

Na 531204 imigrantów, jacy w okresie 10 miesięcy od początku lipca 1909 r. do końca kwietnia 1910 przybyli do Stanów Zjednoczonych, 396802 wylądowało w Nowym Jorku. Każdy z nich przeszedł czyściec na Ellis Island (»Wyspie Eliasza«), małej wysepce, położonej w zatoce nowojorskiej, niedaleko ujścia rzeki Hudson. Wychodźcy nasi zowią ją »Kasselgardą« od miejscowości Cassel Garden, gdzie dawniej odbywało się egzaminowanie imigrantów.

Kiedy okręt wjeżdża do zatoki, opróżniają go zazwyczaj z pasażerów III klasy, których na niewielkich parowcach przewożą na Ellis Island. Od tej chwili wolni ludzie stają się aresztantami. Nie trzeba mieć zbyt wrażliwej duszy, by słyszeć głośne bicie ich wylęknionych serc. Naładowany nimi parowiec, szybko mija olbrzymi posąg wolności. To »Liberty« podarowana Ameryce przez Francuzów, wysoko podnosi do góry płonący kaganiec, co w nocy świeci, lecz nigdy nie ogrzewa; w oczach przybyszów Sfinksem się ona staje, groźnym, zimnym, nieubłaganym. Nieopodal za nią wynurza się z wody niewielki skrawek lądu, na nim kilka budynków. Największy z nich, gdyby stanął gdzieindziej, mógłby nosić nazwę pałacu; sprawia wrażenie głównego pawilonu w pierwszorzędnym jakim europejskim zakładzie kąpielowym. Do tego właśnie »pałacu« skierowują na Ellis Island wszystkich przybyszów, z wyjątkim tych, których odrazu odstawiono do szpitala. Ten piękny gmach dla wielu staje się więzieniem, dla wszystkich zaś ma posadzki, co pieką stopy. Tutaj w olbrzymiej sali rozpoczynają się pierwsze badania. Sala ta ogromna, czysta, widna, przewiewna. Ale urządzeniem swem dziwnie przypo-

mina Stock Yard w Chicago. Ów Stock Yard — to największa rzeźnia na świecie. Gdy automobil, którym tam jechałem, wtoczył się na długi drewniany pomost, na dole po obu stronach ujrzałem wielką przestrzeń podzieloną przepierzeniami z desek na mnóstwo przegródek, wypełnionych przeznaczonem na rzeź bydłem. Wrażenie widoku było takie, że straciłem zupełnie ochotę do dalszego zwiedzania »Stock Yard'u« i zrezygnowałem z oglądania najpostępowszych urządzeń do mordowania zwierząt. Główny pawilon na Ellis Island przypomniał mi Stock Yard, gdy w wielkiej ładnej sali z górnej galeryi, przeznaczonej dla turystów, przyglądałem się istotom ludzkim, oczekującym tam wśród przepierzeń z drutu, jak w klatkach jedna za drugą, aż przyjdzie na nie kolej składania egzaminów. Na każdej twarzy malowało się udręczenie ducha, męka niepewności. Tylko małe dzieci, trzymając się spodnic matek, jedne ciekawie wodziły dookoła oczyma, inne śmiały się lub popłakiwały, wszystkie jak u siebie w domu, chociaż tu i na nie miał zapadać wyrok.

Ale wyroki ostateczne — dla tych, którzy tutaj zwycięzko przeszli już próbny ogień pierwszych badań — zapadają gdzieindziej — tam, w małych salkach, dokąd następnie wiodą imigranta przed formalny trybunał inkwizycyjny, pod grad krzyżowych pytań. Stamtąd dopiero prowadzi droga na wolność lub za kraty.

Tych »krat« nie należy brać w znaczeniu przenośnem. Wyrobione są bowiem z twardego żelaza i niczem nie różnią się od zwykłych krat więziennych. Widziałem je zbliska w »Detention Departments«, oddziałach przeznaczonych dla wychodźców, którym lądowanie zostało zakazane. Jedni pozostają tam dość krótko — do chwili, kiedy z Ellis Island odstawią ich na ten sam okręt, którym przybyli z Europy, inni

dłużej — nieraz całe tygodnie —, jeśli od wyroku władz miejscowych zaapelowali do wyższej instancyi w Waszyngtonie.

Wikt mają ci więźniowie dostatni (żywią ich na koszt kompanij okrętowych), obchodzą się z nimi grzecznie, a przez okratowane okna — gdyby nie sąsiedni mur — mogliby mieć nawet ładny widok z jednej strony na olbrzymi posąg wolności, — z drugiej na brzegi gościnnej ziemi amerykańskiej i nowojorskie drapacze nieba. A jednak narzekają wszyscy, widziałem też takich, co z rozpaczy włosy sobie rwali.

Byłem u tego, kto na wyspie tej wydaje rozkazy i niepodzielne rządy sprawuje. Pan komisarz William Williams jest człowiekiem uprzejmym i tęgim urzędnikiem. Na obecnem stanowisku jest dopiero dwa lata a wydał już niejedno nowe obostrzenie przepisów utrudniających imigrantom prawo lądowania. Wskutek tego ma opinię przeciwnika imigracyi. Według mego zdania poglądy p. Williamsa schodzą się z naszemi: uważa on imigracyę za zło konieczne i stara się zmniejszyć je do minimum. I u nas podobne zapatrywanie panuje odnośnie do wychodźtwa. Tylko że czynione u nas próby, by wychodźtwu w sposób sztuczny tamę położyć — dotychczas wszystkie zawodziły.

Zapytałem p. Williamsa, czy to, co robi się na wyspie Eliasza, nie dałoby się uskutecznić w portach europejskich. Rząd amerykański może mieć swoje własne powody, dla których nie życzy sobie pewnych kategoryj cudzoziemców. Ale rządowi temu nie powinno przecież zależeć, by dziesiątki tysięcy europejskich biedaków każdego roku ponosiły niepotrzebne wydatki na podróż morską i dające się uniknąć straty w pieniądzach, w czasie, zgryzotach, niewygodach. Czemu za nieświadomość własną lub nieuczciwość agentów karani mają być ci, których nieraz żelazna

konieczność zmusza do szukania poprawy bytu w Ameryce?.. Zacząłem mowić o względach ludzkości, jeden po drugim przytoczyłem szereg argumentów na dowód. iż gościnna Ameryka drzwi swoje zamykać powinna przed europejskim proletaryuszem, zanim ten jeszcze wsiadł na okręt, nie zaś, jak to czyni obecnie, dopiero na Ellis Island, gdy przybysz ów już mosty ma za sobą zerwane.

Komisarz Williams słuchał mnie uważnie.

— Tak, to byłaby dobra rzecz — oświadczył po chwili — ale niestety to nie da się tak łatwo przeprowadzić.

— Czemu?

Bo... są rozmaite przeszkody... Naprzykład: dzisiaj imigrant, któremu odmawiamy tutaj prawa lądowania, może od wyroku naszego apelować do Waszyngtonu; niekiedy czyni to nawet z dobrym rezultatem. Wnoszenie takich apelacyi z Europy, kazałoby czekać na decyzyę znacznie dłużej...

Odparłem, że każdy z naszych wychodźców wolałby czekać na waszyngtońskie wyroki raczej cały miesiąc u siebie w domu, niż dzień jeden za kratami koszar na Ellis Island...

I jednocześnie pomyślałem sobie, że po powrocie do Europy trzeba będzie zakasać rękawy i jąć bić w dzwon tak głośno, długo i uparcie, aż wtórować mu poczną inne głosy, których łączne echo dojdzie do Waszyngtonu i zmieni istniejący stan rzeczy.

J. Okołowicz.

Po dniach waszyngtońskich.

II.

Że rząd Stanów Zjednoczonych wystawił pomnik Pułaskiemu i dał Polakom amerykańskim zezwolenie

na wystawienie pomnika Kościuszki jest rzeczą więcej niż naturalną. Ani się dziwić temu ani tembardziej zachwycać się tem niemożna. Uderza raczej okoliczność, że pomniki te stanęły w Waszyngtonie tak późno. Słusznie też poruszały niektóre dzienniki, iż z wystawieniem tych pomników spóźniono się o lat sto. Wszak i Pułaski i Kościuszko walczyli o wolność ojczyzny Yankesów i przyczynili się do powstania ich państwa! Wszak pierwszy w ich wojnie o niepodległość brał udział jako jeden z najwybitniejszych generałów, był twórcą amerykańskiej kawaleryi i śmierć znalazł na polu walki, drugi zaś zbudował fortecę West Point, która do dziś dnia jest chlubą militaryzmu amerykańskiego. Niema chyba narodu, któryby takim cudzoziemcom nie wystawił pomników, zwłaszcza skoro posiada już własny rząd i ma liczne miasta, wydające każdego roku miliony na ozdobę ulic, parków i placów.

Stawiając pomnik Pułaskiemu obecny rząd Stanów Zjednoczonych wykonał tylko uchwałę swego kongresu, powziętą prawie przed wiekiem, spełnił obowiązek, jaki na nim ciężył i który dawno spełnić był powinien, nie czekając, aż zaczną upominać się o to przez swych posłów polsko-amerykańscy obywatele. Za czyn ten i z naszej strony należy mu się, jako rodakom tych dwóch bohaterów, wdzięczne uznanie, ubolewać jednak musimy, że z aktu odsłonięcia tych pomników rząd waszyngtoński uczynił uroczystość wyłącznie amerykańska, święto Amerykanów rozmaitego pochodzenia z zupełnem wykluczeniem Polaków jako takich.

Wśród setek chorągwi, jakie zdobiły trybuny około pomników Pułaskiego i Kościuszki, nie było ani jednej o barwach narodowych polskich. Muzyka grała wprawdzie hymn polski obok rozmaitych walców i innych pod względem narodowym neutralnych melodyi,

działo się to jednak przed oficyalnem rozpoczęciem się uroczystości, — z chwilą gdy na trybunach zasiedli, prezydent Taft i inni dygnitarze — grano tylko hymn amerykański, — dla polskiego nie było już miejsca. Wszystkie mowy, wygłoszone przed pomnikiem Pułaskiego, brzmiały po angielsku; tylko u pomnika Kościuszki, który powstał ze składkowych pieniędzy Polaków, pozwolono na jedną mowę polską, — wygłosił ją prezes z. N. P. p. Stęczyński. Delegatów z Polski, nawet delegatów miast Lwowa i Krakowa, nie dopuszczono do głosu, nie przedstawiano ich nikomu, nie poświęcono im ani słowa wzmianki, ba, nawet nie wystarano się dla nich o odpowiednie miejsca na trybunach, które zdobyli sobie dopiero po długich targach i zawdzięczając szczęśliwej okoliczności, iż publiczność amerykańska nie stawiła się dość licznie, wskutek czego na głównej trybunie było wiele miejsc nieobsadzonych. Prezydent Taft w długiej przemowie szczegółowo rozwodził się nad życiorysem jenerała brygady Pułaskiego, na zakończenie wspomniał o Amerykanach polskiego pochodzenia, ale ani słówkiem nie zaznaczył jakichkolwiek sympatyj dla narodu, który Pułaskiego wydał i dla sprawy, której on w ojczyźnie swej służył. To samo — sekretarz wojny przy odkryciu pomnika Kościuszki. Uroczystości zakończył jakiś wąsaty biskup metodystyczny, za kogo jednak, czy za co się modlił — nie zdołałem zrozumieć, wątpię wszakże, by za Polskę, — prędzej już za trwałość fortecy West Point, którą stworzył talent inżyniera Kościuszki.

Dla nadania zaś całej uroczystości charakteru militarnego, przedzielono ceremonię odsłonięcia pomników olbrzymią wojskową paradą, defiladą przed prezydentem wszytkich obecnych w Waszyngtonie pułków, która trwała dłużej, niż wszystkie mowy przed pomnikami. Wieczorem tegoż dnia polski komitet

pomnikowy urządzał bankiet, na który był zaproszony także prezydent Taft. Przyjść przyrzekł, a jednak się nie zjawił pomimo próśb i nalegań: nie chciało mu się i oświadczył, że — nie ma czasu. Bał się, jak twierdzą niektórzy — że w pięknej sali hotelowej, udekorowanej wyłącznie flagami amerykańskiemi, przy stołach, na których nawet spis potraw wykluczał język polski i u których według pierwotnego programu — rozlegać się miała wyłącznie mowa angielska, ktoś z nieopatrznych mówców wywołać może ducha Polski, tej Polski, której wspomnienie sprawia nieprzyjemność pewnym dyplomatom europejskim! Komitet bankietowy, nie mogąc powitać obecnego prezydenta Stanów, z tem większą dumą i radością odczytał znany telegram jego poprzednika, w którym Roosewelt przesyła z Berlina serdeczne gratulacye »Amerykanom polskiego urodzenia lub pochodzenia (»American of the Polish birth or origin«)...

Taki przebieg miały uroczystości waszyngtońskie, w których optymiści nasi dopatrzyli się aktu historycznej doniosłości, manifestacyi amerykańskiego narodu na korzyść polskiego narodu i polskiej sprawy

Należy jednak otrząść się ze złudzeń, choćby bardzo przyjemnych i zamiast wmawiać w siebie to, co istnieje tylko w sferze naszych życzeń, wyciągnąć naukę na przyszłość z lekcyi, jaką tam dostaliśmy.

O istnieniu jakiejkolwiek żywszej sympatyi u narodu i rządu amerykańskiego dla narodu naszego i naszej sprawy narazie i mowy być nie może. Ani nas miłować nie mogą ani nienawidzieć, bo Polska dla nich nie istnieje, skoro nie widnieje na mapie politycznej i nie posiada swej armii, swej floty, swej własnej dyplomacyi, swych ceł i bagnetów.

Amerykanie sentymentalni nie są, a zresztą żadna polityka na świecie — tembardziej zaś amerykańska — sentymentami się nie kieruje. Możemy atoli

w rządzie amerykańskim pozyskać sprzymierzeńca skoro znajdziemy czynnik, potężniejszy od wspomnień Kościuszki i Pułaskiego, który go do tego zdoła skłonić. Czynnikiem tym jeszcze nie jest, ale z czasem stać się może wychodźtwo polskie w Ameryce. W Stanach Zjednoczonych jest naszych rodaków już teraz przeszło 3 miliony, a liczba ta wciąż rośnie. Trzeba jednak, by Polonia amerykańska pomnażała się nietylko przez wzrost liczebny, lecz także jakościowy. Trzeba, by posiadała ona w swym łonie jaknajwięcej ludzi inteligentnych i wykształconych, jaknajwięcej ludzi na wpływowych stanowiskach i o pełnych trzosach. Trzeba, by pomiędzy organizacyami polskiemi na miejsce dzisiejszych rozterek powstała jedność, by szkoły polskie dawały więcej nauki, by skupianie się polskich rolników na wybranych na ten cel obszarach było faktem dokonanym. Wreszcie potrzeba, i na to, skoro mowa o uroczystościach waszyngtońskich, chciałbym położyć szczególny nacisk, by rodacy nasi w Ameryce, bez względu na to, jak ich tam nazywać będą, uważali się sami nie za Amerykanów polskiego pochodzenia, lecz raczej za Amerykanów polskiej narodowości.

Skoro zaś to wszystko nastąpi, miljon polskich wyborców, mając na swem czele ludzi tęgich i gorąco polskość miłujących, potrafi w odpowiedniej chwili pozyskać dla sprawy polskiej czynne poparcie amerykańskiej dyplomacyi. Zdawać sobie z tego sprawę trzeba, bo starać się o to warto.

J. Okołowicz.

WACŁAW SIEROSZEWSKI

Wychodźtwo Polskie w Rosyi i na Syberyi.

(Referat na Kongres Narodowy Polski w Waszyngtonie.)

(Dalszy ciąg.)

Młodzież ta — inteligentna, śmiała, przedsiębiorcza – pod przymusem i mimowoli oddała nie małe usługi państwu rosyjskiemu w jego zaborczym dążeniom. Aleksander Chodźko, student uniwersytetu wileńskiego, był długi czas konsulem rosyjskim w Persyi. Polak, Jan Witkiewicz, pragnąc wplątać Rosyę w wojnę z Anglią, nakreślił śmiały plan opanowania Turkestanu, co też generał Perowskij, przy żywym udziele polskich oficerów i żołnierzy-wygnańców, uskutecznił. J. Witkiewicza podstępnie zamordowano w drodze z Petersburga, gdy już przestał być potrzebnym, a mógł być niebezpiecznym. Podobno Mickiewicz osnuł »Konrada Walenroda« na tym dramacie.

Jednocześnie ze skasowaniem uniwersytetu Wileńskiego i liceum Krzemienieckiego, z otworzeniem dwóch katedr prawa polskiego w Moskwie i czterech w Petersburgu, z przeniesieniem kolegium katolickiego i Akademii Duchownej do Petersburga, zaczęły napływać do stolic rosyjskich znaczne ilości młodzieży polskiej. Uboga w siły profesorskie Rosya Mikołaja I. zamykając i prześladując wyższe uczelnie w Polsce i na Litwie osiągała podwójny cel: osłabiała ruch umysłowy w Polsce i rabowała siły pedagogiczne polskie, przenosząc bez ceremonii nauczycieli, uczonych, biblioteki i muzea do siebie. W uniwersytecie charkowskim oprócz rektora Dudrewicza wykładają owymi czasy: Jan Kryński, zasłużony naturalista, zoolog; A. Walicki — hellenista; Grzegórz Hreczyn — matematyk; Aleksander Mickiewicz, brat Adama, autor »Encyklopedyi prawa«. Dyrektorem Charkowskiego

gimnazyum zostaje Józef Korzeniowski, dramaturg i powieściopisarz.

W Odeskim Liceum Richelieu wykłada cały szereg Polaków przeniesionych z liceum: Krzemienieckiego i z Wilna; między innymi Władysław Jurgiewicz, były sekretarz uniwersytetu wileńskiego, który jest jednym z założycieli i długoletnim wice-prezesem tamtejszego muzeum historycznego, gdzie jest sporo polskich pamiątek. Liceum miało na 400 słuchaczy 130 studentów Polaków.

Gimnazyalni profesorowie Polacy rozrzuceni są po całej Rosyi. Niema tam prawie wyższego i średniego zakładu naukowego, któryby w swej historyi najwcześniejszej nie miał jakiego zasłużonego, z wdzięcznością wspominanego, zacnego i utalentowanego pedagoga Polaka.

Trudno obliczyć tę ogromną kontrybucyę jaką zaborcza Rosya zaczęła systematycznie pobierać od nas w talentach, w umysłowym rozwoju, w charakterach w inteligencyi, w wykształceniu zawodowem wydzierając z naszego społeczeństwa najlepsze jednostki i przerzucając je w środowiska dzikie, niekulturalne, niewyrobione, gdzie one broniąc się od śmierci i zagłady, jak owi wygnańcy wśród dzikich plemion dalekiej północy, musiały oddawać na usługi rządu i narodu rosyjskiego skarby swego ducha, nagromadzone w ich nerwach i mózgach przez wysoką wielo-wiekową kulturę narodową, opłaconą wysiłkami i nędzą chłopa polskiego. Ten chłop nawet kruszyn z tego swego wywiezionego dorobku już z powrotem nie odbierał, owszem miał za to zwiększony ucisk państwa wzmocnionego myślą polską.

Po powstaniu Listopadowym 1830 r. fala wygnańców znowu wzrosła niepomiernie. Zaroiło się od Polaków w miastach i miasteczkach Rosyi, na Syberyi zaroiło się nawet po wsiach. Garnizony Kaukazu i dalekich barbarzyńskich kresów przepełnione polskimi szere-

gowcami i oficerami. Jest to kwiat narodu. Myśl o powrocie do kraju nie opuszcza ich. Snują ciągle projekty ucieczek pojedynczych i zbiorowych, organizują w tym celu spiski, niekiedy zabarwione dążeniami politycznemi, które stają się początkami miejscowych prądów politycznych, jak naprzykład spisek księdza Sierocińskiego i doktora Szokalskiego w Omsku był ojcem Sybirskiego separatyzmu. Należeli doń już i rosyanie i sybiracy i Polacy; chodziło o oderwanie się od Rosyi i utworzenie wolnego, niepodległego, demokratycznego państwa sybirskiego. Wydany przez jednego ze spiskowców Sierociński dostał wyrok na 7000 kijów i umarł po 3000, resztę wyliczono trupowi, który posiekany cały był wożony na saniach między szeregami sołdatów. Dżurdżyłowski, Jabłonowski, 60-letni oficer wojsk polskich, Zagórski, wreszcie rosyanin Mielin, również zostali zatłuczeni na śmierć. Ocalał jedynie Szokalski, człowiek niezmiernego męstwa, słodyczy i nauki, którego kochali swoi i obci i którego oszczędzili bijąc nawet oprawcy żołnierze.

Z pośród szeregu zaprojektowanych oraz wykonanych ucieczek zwraca w owym czasie uwagę zamierzona przez Piotra Wysockiego, bohatera powstania listopad., zbiorowa ucieczka polaków z katorgi Aleksandrowskiej pod Irkuckiem. Ucieczka nie powiodła się, Wysockiego ujęto, przykuto do taczki i ukarano 1000 kijami. Niepowodzenia te nie zrażały przedsiębiorczych osobników i próby ucieczek nie ustawały. Rufimowi Piotrowskiemu udało się dostać do Paryża i opisać swą homeryczną podróż przez lasy nieprzebyte, bezdroża, śniegi, stepy, bezludne dookoła przez Irbyt, Archangielsk, Petersburg, Rygę do Królewca.

Drugą siłą, która podtrzymywała energia wygnańców była głęboka wiara w zwycięstwo ostateczne sprawy polskiej, w wywalczenie wcześniej czy później niepodległości ojczyzny. Ta wiara dodawała im otuchy, broniła od upadku, kazała im troszczyć się

o zachowanie czystości obyczajów, zdolności życiowej, wiedzy i pracowitości oraz ducha narodowego. Chcieli wrócić do kraju godnemi jej synami albo choć umożliwić taki powrót dzieciom. W tym celu zakładali rozmaite stowarzyszenia wzajemnej pomocy, kółka samokształcenia i starali się o zdobycie niezależnego bytu materyalnego i wpływu na Rosyan. Wygnańcy z tej epoki położyli właściwie fundamenty tym tradycyom i organizacyom wychodźtwa polskiego w Rosyi i na Syberyi, jakie posłużyły za kamień węgielny następnym polskim dobrowolnym oraz przymusowym przybyszom; wzmogły ich siłę oporną, narodową i kulturalną i pozwalają obecnie trwać nawet na straconych pozornie placówkach w zapadłych kątach, gdzie dopływ sił nowych jest bardzo słaby i brak zupełnie wszelkiej kulturalnej pomocy.

Przedewszystkiem starano się wstrzymać rodaków od pijaństwa i małżeństw mieszanych z Rosyankami, gdyż zauważono, iż te dwie rzeczy doprowadzają zawsze prawie do upadku ducha i wynarodowienia. Mocą prawa przed kilku ledwie laty zniesionego, dzieci małżeństw mięszanych musiały być prawosławne. Jeżeli nawet ojciec oparł się wynarodowieniu dzieci, chowanych przez matkę Rosyankę, zazwyczaj były Rosyanami. Zawiązywano w celu więc oddziaływania na rodaków bractwa i towarzystwa, które jednocześnie niosły sobie pomoc materyalną. Umiłowanie pracy było również środkiem podtrzymującym zdrowie duchowe i widzimy, iż wszędzie kolonie polskie rozwijaja wielką i owocną dzialalność.

»Zajmowali się Polacy, pod wpływem towarzystw i przy pomocy kas zapomogowych, rozmaitemi rodzajowi pracy zależać od warunków miejscowych: brali dostawy i zamówienie przy współudziale kupców, najmowali się do pomocy urzędnikom; szukali Polacy słuzby prywatnej albo rządowej. Najwięcej miała

z nich Syberya: drobnych przekupniow, subiektów handlowych, poczmistrzów i pisarków; najchętniej ubiegali się o bardzo zyskowne posady pisarzy gminnych. Przywilej pisemności, umiejętność wyrażania na papierze swych myśli, były główną przyczyną ich powodzenia we wszystkich wymienionych wyżej wypadkach: bliska łączność wzajemna, skutek rodactwa i współniewolnictwa (jak wszędzie na świecie) wyrażała się w tym, że gdzie udało się dostać jednemu, natychmiast przyciągał on drugiego«. — pisze Maksimow[1]). Autor ten dość szczegółowo wylicza kulturalne zasługi Polaków na Syberyi. Półkownik Aszewski sprowadził w 1790 roku pierwsze roje pszczół na Ałtaj i dał początek syberyjskiemu pszczelnictwu, które obecnie daje milionowe dochody całemu krajowi. Doskonały miód sybirski i wosk wywożą obecnie w ogromnych ilościach do Rosyi i dalej. Sawiczewski za Bajkałem i Morawski w Zachodniej Syberyi, pierwsi zaczęli wyrabiać na wywóz olej cedrowy, bardzo ceniony w nabożnej Rosyi jako postna przyprawa. Pierwsze mydlarnie, świeczarnie i garbarnie również założone zostały przez Polaków. Podnieśli niezmiernie stopę rzemiosł i ich romaitość: zasłynęło polskie obuwie, ubranie, wyroby garncarskie i drewniane, meble, beczki, stongwie, łyżki itd. Byli Polacy doskonałemi kucharzami, muzykantami, malarzami. Znajomość języków cudzoziemstwa, ogłada towarzyska, przyzwoite obchodzenie się ze służbą, względna wolność i towarzyska równość kobiet od nich bierze w Syberyi swój początek — według świadectwa Maksimowa Polacy umożliwili powstanie sztuk malarskiej i muzyki w wielu miejscowościach zaznajamiając ludność z ich zasadami. Lekarze polscy odciągnęli ludność od znachorów i wróżbitów. A wszędzie — wygnańcy Polacy

[1]) Ibid. str. 346.

rozpowszechnili poglądy humanistyczne i demokratyczne i zachowaniem się swym podnieśli znacznie w poniżonym i dzikiem ludzi — uczucia godności i honoru.

»Ale szczególnym powodzeniem cieszyli się znawcy rozmaitych technicznych wyrobów, rozpowszechnionych w Polsce, a największą usługę krajowi syberyjskiemu okazali ci, co zajęli się rolnictwem i zastosowali różne sposoby racyonalnej uprawy roli« — pisze Maksimow[1]). — Polacy wprowadzili do uprawy pług i kosę tak zwaną »litewkę«. Sprowadzili z Polski nasiona zbórz i za Bajkałem najlepsza odmiana pszenicy zwie się »polką« a pierwsze nasiona tak zwanej pszenicy »kubanki« zostały przysłane z Polski pocztą. W okręgu Narczyńskim miał pod »Bolszym« polak Buldeshul (? zapewne Budeskuł skazany w procesie ks. Sierocińskiego) wzorowy folwark, Wielu z Polaków chodowało konie, które bardzo cenione były przez ludność miejscową dla piękności, mocy i szybkości a Walecki miał wogóle wpłynąć niezmiernie swemi okazami na udoskonalenie miejscowej rasy końskiej«. [2])

Ogrodownictwo sybirskie również zostało poważnie postawione dopiero przez Polaków, gdyż chociaż już przedtem rozmaici miłośnicy i dekabryści uprawiali w ogródkach, oranżeryach oraz inspektach — arbuzy, dynie, ogórki, fasolę, pietruszkę, kalafiory itd., ale właściwie Polacy zorganizowali na największą skalę handel warzywnemi nasionami, uprościli ich uprawę, zaaklimatyzowali przyniesione odmiany i uczynili ogrodnictwo zajęciem ludowem. — Mówiono mi że nawet kartofle były uważane dawniej na Syberyi za przedmiot zbytku. »Dopiero wygnańcy polscy z 63 roku

---

[1]) Ibid. str. 247.

[2]) Maksimow. ibid. str. 348.

zaczęli dostarczać co dzień na rynki miast warzywa ze swoich podmiejskich ogrodów« — mówili mi Sybiracy.

Ogromna fala wygnańców w 1863 roku przewyższa wszystkie poprzednie swą mnogością, siłą i rozmaitością. Przybyła naówczas do rozmaitych kątów Rosyi i Syberi nie tylko inteligencya i klasy uprzywilejowane, lecz dużo fachowych rzemieślników, mieszczan, robotników fabrycznych, oraz włościan.

Ci wygnańcy trafili na grunt już do pewnego stopnia przygotowany, przyjęli tradycye istniejących koloni polskich dawniejszych, skorzystali z ich doświadczeń i wskazówek obyczajowych i gospodarczych, słowem znaleźli w nich oparcie.

Razem z żonami i dziećmi przypędzono ich do samej Syberyi 18.623, a w Rosyi Europejskiej rozsiedlono wraz z wcielonymi do wojsk rojsyjskich prawie drugie tyle.

Taki przylew żywiołu kulturalnego ogromnie podniósł skalę cywilizacyjną w całej Rosyi, już nie mówię o Syberyi. Powstały tam nowe potrzeby, nowe urządzenia, a inne dotychczas rzadkie spospolitowały się znacznie. Dość powiedzieć, że po dziś dzień do niedawna w większości prowincyonalnych miast rosyjskich prawie wszystkie apteki i składy apteczne, zakłady fotograficzne, rytownie, jubilernie, zakłady zegarmistrzowskie, cukiernie, fryzyernie, kwieciarnie, magazyny mód były w rękach Polaków lub zostały pierwotnie przez nich założone... (C. d. n.)

Sokolstwo Polskie i Towarzystwa wojskowe w Ameryce Północnej.

Sokolstwo organizować się u nas zaczęło daleko później niż w Polsce. Brakowało nam ludzi, którzyby

wcześniej przejęli się ideą, która w Polsce już przed 30 laty licznych miała zwolenników w kołach inteligencyi. Dopiero w ostatnich latach na gruncie tutejszym znalazła się garstka młodzieży, która już w Polsce służbę pełniła i za jej wpływem Sokolstwo nasze upodabnia się do organizacyi krajowej.

Powstało ono bowiem w Ameryce z inicyatywy młodzieży, która roboty sokolej w Polsce wcale nie znała, i aczkolwiek posługiwała się regulaminem i podręcznikami organizacyi krajowej, nie było u nas jednak tego samego ducha, a czeska organizacya sokola tutejsza, która pierwszym gniazdom naszym dostarczyła instruktorów gimnastycznych, większy wywarła wpływ na jej życie, niż Polska.

Wprawdzie pierwsze gniazdo sokole zorganizowane u nas zostało już w roku 1887, (w Chicago) a Związek Sokoła istnieje od roku 1894 po złączeniu pięciu gniazd, (także chicagoskich), ale datą żywszego rozwoju tej organizacyi jest dopiero rok 1905, w którym Związek po raz pierwszy przekroczył liczbę tysiąca członków i z niepełnej pół setki gniazd, doszedł do tego, że dziś liczymy w Ameryce gniazd około 300, skupiających około 10,000 młodzieży płci obojga.

Przyczyną dla której tak długo organizacye sokole ugruntować się tu nie mogły, był nietylko brak instruktorów gimnastycznych, ale także ten fakt, że daleko wcześniej, po wszystkich parafiach tutejszych organizowały się towarzystwa wojskowe, barwnym strojem pociągające młodzież, i cieszące się poparciem duchowieństwa za swe występy w czasie uroczystości kościelnych.

Trudno nawet w przybliżeniu podać liczbę tych towarzystw; w każdym razie jest ich po kilka w każdej parafii, a parafij polskich mamy w Ameryce, jak wiadomo, blisko ośmset.

W ostatnich czasach zawiązuje ich się atoli mniej

aniżeli dawniej. Sokolstwo coraz więcej pociąga młodzież, zyskując powoli sympatyę wszystkich, pomimo fermentu przez jaki obecnie przechodzi.

Organizacya sokola ma w Ameryce wielką przyszłość przed sobą i z pewnością ważną odegra rolę w ukształtowaniu się naszego życia na wychodźtwie.

Gniazda sokole stają się powoli bardzo ożywionymi środowiskami naszego życia towarzyskiego. Już około 30 gniazd posiada własne domy, w których co wieczór odbywają się nietylko ćwiczenia gimnastyczne licznych zastępów starszych i młodszych druhów i druhen, oraz dziatwy obojga płci, ale także lekcya śpiewu, próby do przedstawień amatorskich, wieczorki, odczyty i tp. Kilka gniazd zdobyło się już na własne orkiestry. Odbywają się też obok zlotów walnych i okręgowych, (te ostatnie urządzane co rok) często ćwiczenia polowe, tz. manewry.

Właśnie w chwili gdy to piszę, w dniach 3, 4 i 5 lipca, urządził Okręg II. (chicagoski) Związku Sokolego, z siedzibą zarządu w Nowym Jorku, trzydniowe ćwiczenia polowe, w których udział bierze ogółem 1500 ludzi. Do towarzystw sokolich przyłączyło się także kilka oddziałów wojskowych. Śpią w namiotach, żywność gotują w kuchniach polowych. W programie są obok ćwiczeń sokolich, manewry wojskowe z bronią palną, w którą prawie wszystkie gniazda chicagoskie już są zaopatrzone.

Na takie »manewry« wyruszają gniazda z Chicago, o tej samej porze, już od lat kilku, a młodzież serdecznie im rada.

Taka pełnia życia musi pociągać, musi sobie zdobyć sympatyę i poparcie całego ogółu, który coraz lepiej rozumie, że w organizacyi sokolej nasza jedyna ostoja wobec amerykańskich doskonale zorganizowanych towarzystw sportowych, które dużo porywają polskiej młodzieży w swoje szeregi.

A i sport amerykański także jest uprawiany w gmachach naszych. Istnieją w nich osobne kluby gry w piłkę w rozmaitych jej odmianach, z zamiłowaniem, zwłaszcza w ostatnich czasach, uprawiane są zapasy, i spora liczba naszych Sokołów zbiera laury i dolary na arenach zapaśniczych amerykańskich.

Sokolstwo nasze pozatem bierze zwykle gremialny udział w naszych uroczystościach narodowych, a często i kościelnych, i stara się usilnie, wszędzie gdzie może, o zaprowadzenie nauki gimnastyki w szkole parafialnej.

Istniejący od roku rozłam i spowodowany nim ferment, nie potrwa długo i Sokolstwo wyjdzie zeń wzmocnione przebytą walką, bardziej odporne i uzdolnione do przeprowadzenia swych celów.

Rozłamowi już dziś zawdzięcza Sokolstwo, że jego szeregi wprawdzie na dwa podzielone Związki, w przeciągu roku prawie się podwoiły i że w szeregach tych z powodów konkurencyjnych zdwoiło się tętno życia.

Historya rozłamu pokrótce opowiedziana przedstawia się następująco:

Jak już zaznaczyłem, do roku 1905 rozwijało się Sokolstwo bardzo powoli; w szeregach Związku nie stało nigdy więcej nad tysiąc druhów. Ówcześni jego kierownicy pragnąc udostępnić dla idei sokolej wpływ na szersze masy, postanowili organizacyę własną przyłączyć na zasadach autonomicznych do potężnego już wówczas Związku Narodowego i przez ulokowanie organu swojego na łamach »Zgody« przypuścić regularny, każdego tygodnia powtarzany szturm do 50,000 członków tej organizacyi, w tej nadziei, że jeżeli nie wszyscy, to przynajmniej młodsi powoli swoje martwe pod względem pracy społecznej towarzystwa wzajemnej pomocy przekształcą na ożywione pełnią życia gniazda sokole.

Rachuba w znacznej części okazała się trafną, gdyż w przeciągu lat czterech liczba gniazd sokolich z 50 doszła do 150, a liczba członków z 1000 do 5000.

Ale nie samo powiększenie szeregów sokolich mieli kierownicy Sokolstwa na oku. Szło im także, jak już nadmieniłem, o ożywienie całego Związku Narodowego i mając gotowe po temu plany, zaczęli zabiegać o opanowanie wyższych stanowisk w Związku Narodowym drogą wyborów na Sejmie. Tu atoli spotkał ich zawód; przeliczyli się ze siłami, zostali nietylko pobici ale z walki o władzę wywiązały się rozmaite inne, osobiste, a kierownicy Związku Narodowego, widząc wyraźnie grożące im z tej strony niebezpieczeństwo ze strony młodych, poczynili cały szereg zabiegów, ścieśniających znacznie autonomię sokolą i swobodę ruchów przewodników Sokolstwa, aby usiłowania podobne więcej powtórzyć się nie mogły, zaś na zjazd sokoli w Cleveland, który się odbywał po sejmie Związku, zorganizowali w Sokolstwie swoich zwolenników, by z szeregu tej organizacyi ludzi sobie niebezpiecznych usunąć raz nazawsze.

Oto są prawdziwe powody rozłamu, jaki się w Cleveland dokonał. Walka toczyła się prawdziwie po amerykańsku, w której ani jedna ani druga strona w środkach nie przebierały, a chociaż w czasie jej trwania rozmaicie ją tłomaczono, toczyła się o władzę w Związku Narodowym. Sokolstwo zapragnęło wysunąć się na czoło tej organizacyi, bo tylko dlatego i w tym celu do Związku wstąpiło, ale, że do roboty zabrało się za nagle, za gorąco i chciało tego dokonać od jednego zamachu, zostało z kretesem i raz nazawsze pobite.

Obecnie nawet najgorliwsi zwolennicy Związku Narodowego w Sokolstwie rozumieją, że niema dla niego przyszłości w jego szeregach.

Opanować tę organizacyę, aby ją z gruntu przekształcić i ulepszyć, to był cel godny Sokolstwa, zdolny wzniecić zapał i chęć do pracy w bardzo szerokich kołach, służba zaś lojalna, w ustawicznej kontroli, której dokonują ludzie często wcale nie rozumiejący dążeń Sokolstwa, a której wymagają obecnie kierownicy Związku od Sokoła, nie może szczerym Sokołom się podobać i dlatego prędzej czy później, wszyscy ze Związku Narodowego się wysuną, tembardziej, że obecni kierownicy Związku Narodowego w dalszym ciągu czynią starania nad obostrzeniem kontroli ruchów Sokolstwa

Ale i Związek Narodowy dosyć ma już tych kłopotów z Sokolstwem, więc Sejm Związku, który się odbędzie w przyszłym roku w St. Louis, prawdopodobnie odmówi subwencyi, a wtedy usunie się ostatnia przeszkoda do ponownego połączenia się obu organizacyj sokolich dość już dziś silnych, by samodzielnie myśleć o swej przyszłości.

Siły obu organizacyj sokolich są dzisiaj prawie że równe. Przed rokiem w Cleveland, ustąpiło wprawdzie gniazd tylko 27, ale ciągle przybywają im nowe, w miarę jak w Związku Narodowym obostrza się kontrola i uwidocznia zupełny brak ochoty do jakichkolwiek ustępstw. We wrześniu ma się odbyć zjazd Związku Sokolego z siedzibą zarządu w Nowym Jorku, który zastanie w szeregach »Wolnego Sokolstwa« około 4000 druhów.

Ale i ta część Sokolstwa, która dotąd wierności Związkowi Narodowemu dochowuje, liczebnie nie podupada, bo miejsce dezerterów zajmują licznie w szeregach Związku N. P. werbowani rekruci, tak, że cyfra około 5000 stale na raportach się utrzymuje.

Należy mi tu wyraźnie podkreślić, że pomiędzy członkami obu związków sokolich żadnej niena-

wiści niema, pomimo, że obecny Zarząd Związku Narodowego, z łatwo zrozumiałych powodów używa rozmaitych sposobów, aby ją rozniecić. Przeciwnie, nawet w świeżo za jego wpływem organizowanych gniazdach, wnet budzą się sympatye dla tych »innych« Sokołów, a budzi je wykazywana przez nich dzielność, i — pragnienie połączenia się rośnie z dnia na dzień.

Z drugiej strony, i to wyraźnie podkreślić należy, w szeregach »Wolnego Sokolstwa« niema absolutnie żadnej niechęci dla Związku Narodowego, jako organizacyi. Wszyscy w niej pozostali i werbują dla niej w dalszym ciągu nowych członków, tylko — nie chcą być krępowani i dozorowani w swojej pracy obywatelskiej przez ludzi, którzy Sokołami nie byli i nie będą prawdopodobnie nigdy.

Rozpisałem się o tym »rozłamie« cokolwiek obszerniej, bo przedstawia on bądź co bądź ciekawą kartę w dziejach naszego rozwoju i doskonałą ilustracyę starć wewnętrznych, na tle których rozwija się nasze życie społeczne i narodowe.

W przeciwieństwie do gniazd sokolich leniwo bardzo toczy się życie w naszych towarzystwach wojskowych. Liczbą członków przewyższają one zapewne dziś jeszcze w dwójnasób liczbę Sokoła, ale — nikt tego obliczyć nie potrafi, bo — żyją każde dla siebie i najwyżej dla swojej parafii. Istnieje wprawdzie w Chicago od lat wielu t. zw. Związek Wojsk Polskich, ale należy do niego zaledwie 20 towarzystw. I ten Związek za przykładem Sokołów i Śpiewaków połączył się przed paru laty autonomicznie ze Związkiem Narodowym, ale nie potrafił nawet tego dokonać, by towarzystwa wojskowe w charakterze grup do tej organizacyi należące, a jest ich w Stanach Zjednoczonych kilkadziesiąt, uznały jego władzę nad sobą. Istnieją też związki większych organizacyj woj-

skowych w Nowym Jorku i Filadelfii, ale jeszcze słabsze niż chicagoski.

Towarzystwa wojskowe, jak już nadmieniłem. są w Ameryce daleko słabsze aniżeli sokole.

Zakładano je już przed 30 i więcej laty po polskich parafiach, wzorując się na towarzystwach t. zw. rycerskich-amerykańskich, służących przeważnie do parady. Są tu zresztą całe organizacye asekuracyjne (ubezpieczające) np. milion przeszło członków licząca organizacya o dziwnej nazwie» woodmanów« (drwali, którzy wcale drwalami nie są) lub »foresterów« (leśniczych), którzy lasów nigdy nie widzieli), bardzo lubujących się w lśniących mundurach.

Otóż wzory były gotowe; wzięto tylko strój dawnych polskich ułanów, lub krakusów i — wojska polskie poczęły się mnożyć po wszystkich koloniach. Obok oddziałów wcale nieźle wyćwiczonych, dzięki przypadkowi, że znaleźli się ludzie dość do tego uzdolnieni, mamy tu także »ułanów«, którzy koni nigdy jeszcze nie dosiadali, »artyleryę« bez armat i innego rodzaju dziwolągi. Nie brak też polskich oddziałów w mundurach austryackich... Komenda przeważnie polska, ale — jest także sporo oddziałów t. zw. „kadetów« w ktorej, nawzór milicyi krajowej, angielską się posługują.

W całych Stanach Zjednoczonych mamy tylko jedną regularną kompanię milicyi stanowej z samych Polaków, a to w Milvaukee, Wisconsin, która istnieje od 25 lat pod naz. »Gwardyi Kościuszki« i brała udział także w wojnie hiszpańskiej. Animusz wojskowy w czasie tej wojny ogromnie się między Polakami rozbudził. Około tysiąca młodzieży stanęło pod gwiaździstym sztandarem, a kilka razy tyle zgłosiło swą gotowość, z której rząd nie potrzebował już korzystać.

Stanisław Osada.

Nasi w Turcyi.

Polacy w Turcyi. — Osada polska w Małej Azyi, Adampol. — Wycieczka do — Adampola. — Jak się tam naszym rodakom powodzi — Powodzenie gospodarcze. — Braki i niedostatki pod względem zaspokojenia potrzeb religijnyeh i oświatowych. — Czy i w jaki sposób moglibyśmy osadnikom w Adampolu pod tym względem pomódz. — Opiekun osadników pol. ks. Kiefer. — Opinia arcybiskupa konstantynopolitańskiego ks. Sardi.

Polaków stale w krajach tureckich osiadłych jest z natury rzeczy niewielu.

W krajach tak mało przemysłowych, tak pod każdym względem zaniedbanych, o ludności nawpół dzikiej i o bardzo małych potrzebach życiowych, niema oczywiście miejsca dla polskiego robotnika. Zarówno tamtejszy przemysł domowy jak i nieliczne przez cudzoziemców w ostatnich czasach pozakładane zakłady przemysłowe, np. przędzalnie jedwabiu, browary i t. p. zatrudniają miejscowego robotnika i płacą go tak tanio, że nasz robotnik nie mógłby przy takiej płacy wyżyć.

Robotników więc polskich niema w Turcyi wcale. Jest jednak porozpraszana po całej Turcyi i Azyi Mniejszej garść inteligentnych Polaków, którzy w rozmaitych zawodach, przeważnie jednak jako inżynierowie, lekarze, kupcy, nauczyciele i telegrafiści, znaleźli tutaj niezłe warunki bytu.

Jest też w Turcyi kilkunastu polskich księży misyonarzy, zwłaszcza w zakonie O. O. Salezyanów.

Z ludzi zaś prostych jest w Azyi Mniejszej, niedaleko od Bosforu i morza Czarnego, polska osada rolnicza, zaludniona przez potomków tych wygnańców politycznych, których tu niegdyś Ks. Adam Czartoryski na zakupionych od rządu tureckiego gruntach, jako swych wieczystych, dziedzicznych dzierzawców osadził. Jestto polski Czyflik czyli Adampol.

Pomiędzy osiadłymi w Turcyi inteligentnymi Polakami, są tacy, którzy zdobyli sobie tutaj swą pracą i zdolnościami niemały wpływ i znaczenie.

W pierwszym rzędzie wymienić tu należy znakomitego prawnika hr. Ostroroga, kodyfikatora tureckich praw, twórcę przedłożeń dla tureckiego Medżylisu.

Z pomiędzy wpływowych i znanych powszechnie inżynierów, wysuwają się naprzód p. p. Wańkowicz, i Radziwinowicz, z pomiędzy lekarzy Dr. Ihnatowicz, Dr. Obermayer, Dr. Semerau, Dr. Bednarski, Batyński. Z innych zawodów znanymi są p. p. Zorzecki, profesor rysunku i malarstwa w Konstantynopolu, Franciszek Iwasiński, Franciszek Kowalski, Szymon Dargiewicz, Antoni Zawodzki, Radomski, Tarasiński, Remiszewki, Grabowski, kilku p. p. Jaworskich, Wincenty Lipkowski, znany w Konstantynopolu cukiernik p. Karwecki, Trelecki, p. p. Zabłoccy w Kadskeni i t. d.

Będąc w kwietniu b. r. w Konstantynopolu, chciałem oczywiście odwiedzić naszych polskich rolników w Małej Azyi.

Z mapy widziałem, że chcąc się do Adampola dostać, trzeba statkiem dojechać przez Bosfor do miasteczka portowego Beicos, a ztamtąd przez góry jeszcze ze 20 kilometrów drogi. W hotelu w Konstantynopolu objaśniono mię, że najlepiej było by dojechać parowcem do małej osady przed Beicosem »Pacha Bagtche«, gdyż ztamtąd jest dobra w połowie już zbudowana kosztem Khedywa Egiptu ku Adampolowi prowadząca droga. Z Beicosu zaś niema żadnej drogi kołowej tylko konno ścieżynami przez góry można się do polskiego Czyfliku dostać. W Bejcosie jednak jako większem miasteczku można każdego czasu dostać konie wierzchowe, muły lub osły, natomiast w Pacha Bagtche jako małej osadzie o najem

koni trudno, i trzebaby naprzód zamawiać, by je z Beicos sprowadzono.

Opowiadano nam też w hotelu, że młodzi turyści, zwłaszcza Niemcy i Amerykanie, robią zazwyczaj wycieczkę do Adampola dla cudownej podobno okolicy w ten sposób, że idą z Beicosu z najętym tamże przewodnikiem piechotą, że w Adampolu przepędzają czas dłuższy, 2 lub 3 dni, i że nocleg tamże dość chwalą.

Wysłuchawszy tego wszystkiego, postanowiliśmy wybrać się do Adampola możliwie najwcześniejszym, rano wychodzącym statkiem przez Beicos. Następnego dnia o wpół do 7-mej rano byliśmy już na pokładzie tureckiego parowca, utrzymującego komunikacyę między Konstantynopolem a azyatyckimi portami Bosforu aż do Anatoli Tanor nad morzem Czarnem.

Przy pięknej pogodzie cudowną była ta jazda przez Bosfor wśród ciągle zmieniających się widoków, oddalających się minaretów Stambułu, Galaty i czerniającej się wzgórz Pery, wśród pałaców, will i ogrodów rozsiadłych na obu brzegach Bosforu tak nieprzerwanym szeregiem, że stanowiło to jakby dalszy ciąg ginącej za nami w mgle oddalenia stolicy.

Statek nasz zatrzymywał się po drodze i brał pasażerów w Haidor Pacha, Scutari, Kondili, Anatoli Hessar, Pacha Bagtche i wreszcie po półtora godzinnej jeździe przybyliśmy do drewnianego pomostu w Beicos.

Wysiedliśmy i tłumacz nasz udał się zaraz z nami do miasteczka na poszukiwanie koni.

Po długich a krzykliwych targach wynajęliśmy dwa parokonne, wcale porządne powozy. Furmani bowiem zaręczali, że dowiozą nas prawie do samego Adampola i tylko może najwyżej 20 minut trzeba będzie iść piechotą, o ile by do samego Adampola dojechać się nie dało.

Było nas oprócz tłumacza 5 osób, 3 mężczyzn

i dwie panie. Panie wolały jechać powozem, więc zastosowaliśmy się do ich życzenia, choć niebawem przyszło nam tego żałować.

Droga jezdna już przez miasteczko w górę okazała się niemożliwą. Brukowana kiedyś przed wiekiem conajmniej olbrzymiemi i rozmatych kształtow głazami, była prawdziwą torturą dla nas, dla koni i groźnem niebezpieczeństwem dla resorów. Gdy kilkakrotnie cudem tylko uniknęliśmy wywrotu, zmuszeni byliśmy wysiąść i podtrzymywać powozy w trudniejszych miejscach.

Wreszcie skończyło się miasteczko i jego przeraźliwy bruk. Odetchnęliśmy i zajęliśmy miejsca w powozach, ale nie na długo, bo po 2 może kilometrach jakiej takiej drogi wjechaliśmy jakby w łożysko wyschłego potoku, wydeptane przez kozy i owce i zaczęła się przeraźliwa jazda bystro pod górę i jeszcze bystrzej z góry, z pieca na łeb i ze łba na piec poprostu.

Wjechaliśmy, a raczej weszliśmy podtrzymując ciągle powozy w góry i wąwozy, obrosłe gęstą nieprzeniknioną gmatwaniną laurów, dzikich pomarańcz i rozmaitych kolczastych krzaków. Droga a raczej kozia ścieżka, którą szliśmy, pięła się teraz w zakosy pod górę i w stronę Bosforu odsłaniać się zaczęły coraz rozleglejsze, coraz wspanialsze widoki. Na dole, głęboko pod nami Beicos a dalej Anatoli Kawak i długa szafirowa wstęga Bosforu, ubrana szeregiem białych miasteczek na górzystych brzegach.

Naprzeciwko, na europejskiej stronie większa grupa pałaców i ogrodów. To Therapia a za nią w głębi jeszcze większa osada Boyuk-Dere.

Przed nami bystre góry, obrosłe coraz bujniejszą gęstwą laurów, przetykaną tu i owdzie sterczącemi wysoko koronami buków.

Po półtoragodzinnem może konwojowaniu na-

szych powozów, które okazały się na to tylko przydatne, by wieść 2 małe przywiązane dobrze sznurami koszyki z prowiantem, wjechaliśmy naraz, przejechawszy przez przełęcz i przebywszy świeżo wykopany rów na doskonałą, świeżo widać zbudowaną, bo z nieujeżdżonym jeszcze drobno tłuczonym kamieniem, szeroką drogę.

To droga, którą swoim kosztem buduje Khedyw Egiptu od swej letniej rezydencyi nad Bosforem (w pobliżu Pacha Bagtche) w góry, by mieć możliwość używania i powozowych przejazdżek. Droga ta ma z czasem przejść i przez Adampol i iść dalej ku morzu Czarnemu.

Kwadrans może jedziemy tą drogą lekko pod górę wyciągniętym kłusem. Naraz jednak droga się kończy. Przed nami kilkadziesiąt dzikich postaci, sprowadzonych z głębi Azyi, kurdyjskich robotników, wożących taczkami ziemię na dalszy nasyp pod drogę.

Wysiadamy. Powozy zjeżdżają na wąską ścieżynę, torując sobie drogę wśród rozginanych na obie strony krzaków. Po kwadransie zatrzymujemy się nagle. Pierwszy powóz stanął nad głębokiem urwiskiem. Na dnie wąwozu przed nami szumi i kłębi się i spada kaskadami po kamieniach wielki potok.

O dalszej jeździe niema mowy. Furmani opowiadają, że do polskiego Czyfliku jeszcze tylko pół godziny drogi piechotą.

Niema oczywiście rady. Prowadzeni przez jednego z furmanów, który wziął na plecy nasze zapasy żywności, schodzimy na dno wąwozu. O przejściu potoku suchą nogą niema mowy. Sterczą wprawdzie z wody duże, zielone od mchu kamienie, ale nasz tłumacz, który próbował po nich przejść, pośliznął się zaraz na pierwszym i runął jak długi w zimną kapiel.

Wolimy więc nie próbować takiej gimnastyki, lecz raczej w ślad za furmanem, który w swych łapciach

przeszedł potok w bród, wolimy zaryzykować zamoczenie trzewików.

W kwadrans drogi potem, po przejściu drugiego takiego samego, lub może tego samego potoku, wchodzimy zboczem góry w wielki las starych odwiecznych buków i grabów z podszewką laurów i kwitnących biało, olbrzymich wrzosów.

Stare buki objęte są gęsto pasożytami jemioły, bluszczów, dzikiego chmielu i poplątane ze sobą, jakby setkami ljanów.

Wchodzimy na stromą ścieżkę, wydeptaną widocznie w porze zimowych deszczów przez krowy. Idziemy jakby po glinianych schodach.

Wreszcie po 5 kwadransowych forsownym marszu od miejsca, gdzie zostawiliśmy konie, a 3 ½ godzinnym od Beicosu wychodzimy naraz z lasu. Przed nami szeroka, lekko falista, zamknięta wysokiem pasmem lesistych gór, dolina, z porozrzucanemi wśród ogrodów kilkudziesięcioma, częścią parterowemi, częścią piętrowemi domami, krytymi słomą. To już Adampol.

Po chwili spotykamy jakiegoś młodego człowieka, prowadzącego dwa objuczone koszami z liściem bukowym konie. Witamy go »Niech będzie pochwalony«.

Odpowiedź »Na wieki wieków«, radosny błysk oczu i chłopek zatrzymuje się przed nami z pytaniem »To Państwo nasi«? Następuje prezentacya. Młody człowiek nazywa się Józef Wilkoszewski.

Jego dziadek jeszcze tu osiadł przed 60 laty. A teraz pół Adampola to sami Wilkoszewscy. On się tu urodził i gospodaruje z ojcem.

Na pytanie »jak się Wam tu powodzi« odpowiada pytaniem: »To Państwo może krewni tych państwa, co tu u nas niedawno byli?« »Dlaczego, nic nie wiemy o tamtych« — »No, bo tamci Państwo także się każdego z nas pytali, jak się nam powodzi«. »To przecie całkiem naturalne pytanie«, odpowiadam —

»Każdy Polak, który tu pierwszy raz przyjdzie, o to przecież najpierw zapytać się musi«.

»To prawda« odpowiada »ale mnie się dlatego to wyrwało, że tamci Państwo to tu nawet dłuższy czas byli i mieszkali u Jana Nowickiego i mówili, że będą zachęcać swoich krewnych i znajomych z Krakowa, żeby będąc w Stambule nie zapomnieli odwiedzić i nas«.

»To z Krakowa ci Państwo byli? Jak się nazywali?« — »Jakoś Budwid, »mówili że jest profesorem w Krakowie«.

»To może Bujwid?« — »A tak, tak napewne. Państwo Bujwidowie. Pan to bardzo dobry i serdeczny człowiek«.

»Ale pytał się Pan, jak się nam powodzi. Otóż dobrze, wcale dobrze. Przy pracy, to mamy co jeść i w co się ubrać, bo i pieniędzy można u nas za dostawione do Stambułu masło i ziemniaki tyle zarobić, że od biedy wystarczy. Biedy u nas niema, ino że księdza polskiego nie mamy tylko Słowaka, co po polsku źle mówi i kościoła nie mamy tylko budzinę, a i z nauczyciela nie jesteśmy zadowoleni.«

Tymczasem przerywa rozmowę, nasz konstantynopolitański tłumacz, który z Turkiem niosącym koszyki poszedł był naprzód, i zawiadamia, że śniadanie już zastawione.

Aż słabo się nam robi z głodu, więc żegnamy narazie młodego Wilkoszewskiego. Tłumacz prowadzi nas do miejscowej oberży, przed którą w cieniu olbrzymiego platana zastawiony już stół. Karczmarz czeka pod platanem. Pozdrowiamy go »Niech będzie pochwalony« — On na to »Dzieńdobry«.

Czyżby to wpływ pani Bujwidowej, myślę sobie ale rychło pokazuje się, że posądzenie było niesłuszne. Karczmarz jest Grekiem i kilka słów tylko umie po polsku.

Zabieramy się z zapałem do śniadania i zaspokoiwszy pierwszy głód, rozglądamy naokół.

Krajobraz, który nas tu otacza, niema w sobie nic azyatyckiego. Porosłe bukami zbocza gór w oddali, a to co bliżej, to takie swojskie, takie nasze. Typowe polskie słomą kryte chaty i ogródki otoczone płotami. Na małym pagórku krzyże małego cmentarzyka i brzozy, polskie brzozy stare i płaczące.

Platan pod którym siedzimy zaledwo zaczyna się zielenić i nie psuje zupełnie wrażenia.

W chwili, gdy kończymy śniadanie, przychodzi do nas jakiś starszy poważny gospodarz, który usłyszał z za swego płotu, że rozmawiamy po polsku i z radością przychodzi nas powitać.

To jeden ze starych tutejszych osadników powstaniec z r. 1863, Jan Nowicki.

Opowiada nam szczegółowo o całej kolonji, o jej powodzeniu, o brakach i niedostatkach. Potwierdza to, co nam już wspominał młody Wilkoszewski.

Materyalnie dzieje się kolonistom dobrze. Jest ich razem 42 rodzin, a 186 dusz. Każda rodzina ma tyle gruntu, ile może obrobić!

Jak komu zamało — to może sobie z lasu wykarczować i wyrobić nowy kawałek. Sam Nowicki ma ziemi ornej 50 nowych morgów. Sieją wszystkie nasze zboża. Pszenica udaje się dobrze, bo ziemia sędzinna niezgorsza. Jęczmień i owies także. Żyto natomiast na ziarno źle się udaje. Sieją je jednak na słomę, by mieć czem kryć dachy »bo tu u nas, Panie, po polsku. mieszkamy pod strzechą«.

Zboża wszelakie, groch, fasolę, koniczynę sieją na swoją potrzebę i na paszę dla bydła i koni, a na sprzedaż to sadzą ziemniaki i produkują masło, za które w Stambule bardzo dobrze płacą. Bo turki ani greki o maśle nie mają pojęcia. Dla państwa więc

europejskiego w Stambule nie zostaje nic tylko jeść zagraniczne, albo świeże od adampolan kupować. Państwo wolą ich masło, więc żeby 3 razy tyle mieli, toby po dobrych cenach sprzedali. Dwa razy na tydzień jeżdżą zawsze z masłem, a czasem z ziemniakami i innemi produktami na sprzedaż do Stambułu.

Co do stosunków rodzinnych to niezawsze ma się młody z kim żenić! Sam Nowicki ożenił się po raz drugi z Niemką, bo Polki nie było. Poznał ją w Stambule. Dobra kobieta i gospodarna, ale to już zawsze nie swoja.

Stosunków sąsiedzkich z rzadką bardzo w tych lasach miejscową ludnością, nie mają dobrych, bo to naokoło przeważnie próżniaki i zbóje, przed którymi strzedz się trzeba tak samo, jak przed wilkami, których dość w tych lasach.

Stosunki sąsiedzkie w samej kolonji także niebardzo dobre. Choć wszyscy ze sobą spowinowaceni, ale zgody i tak niema, »jak to zwyczajnie między Polakami«.

O klimacie opowiada Nowicki, że bardzo w lecie, na wiosnę i w jesieni przyjemny. Gorąca wielkiego nigdy niema, deszczów tylko czasem brak wielki. Natomiast zimy mają paskudne, zgniłe i niezdrowe. Mrozów nie bywa. Śnieg jest rzadkością, tylko deszcz ciągle leje, i przez całą zimę pochmurno, mokro, ponuro i wilgotne przenikliwe zimno.

Co do zaspokojenia duchowych potrzeb kolonji, to jak twierdzi Nowicki, nie brakuje im książek i gazet, bo tego im rodacy z kraju nie żałują. Wogóle o książkach i gazetach wyraża się Nowicki z lekceważeniem: »Nasyłają nam tej bibuły, a tu czytać nie ma komu, bo i czasu brak wśród pracy.«

Szkółkę w Adampolu mają, i dzieci uczą się po polsku, lecz z nauczycieli nie bardzo zadowoleni Główną jednak bolączką osady jest brak odpowied-

niej kaplicy, w której by się wszyscy pomieścić mogli i brak polskiego księdza.

Mają wprawdzie stałego księdza, ale Słowaka i to chorego, któremu się niewiele należy. Musiał aż Papieża prosić, by mu wodę przed mszą św. pić pozwolił, no i pije ciągiem wodę a pragnienia ugasić nie może.

Żeby tak na porządny kościółek zdobyć się mogli, i księdza polskiego dostać i nauczyciela lepszego. i żeby tak jeszcze kilku polskich rzemieślników do nich z kraju przyjechało, toby im nie było źle w Adampolu. Co do rzemieślników, to przydałby im się bardzo choć jeden dobry cieśla i kowal. Roboty by im z pewnością nie zabrakło i dobry rzemieślnik z pewnością 5 franków dziennie przez cały rok by zarabiał.

Po długiej rozmowie przy śniadaniu zaprasza nas Nowicki do swego domu na czarną kawę.

Idziemy. Dom Nowickiego piętrowy pod słomą. Przedstawia nam swą żonę i 10-cioro dzieci, przeważnie starszych z pierwszej żony. Pani Nowicka choć Niemka mówi już jednak dobrze po polsku. Jeden z synów Nowickiego 12-letni ładny chłopak, przynosi skrzypki i zaczyna nam grać »Jeszcze Polska nie zginęła«.

Nowicki z uciechą opowiada, że jego malec grał tu niedawno to samo ambasadorowi rosyjskiemu, który tu był w zeszłym roku z innymi panami ze Stambułu, i że ambasador musiał słuchać. — Opowiada dalej Nowicki o uroczystości Mickiewiczowskiej w Stambule. Wspomina z dumą, że to on niósł sztandar polski na czele pochodu.

Pytam się Nowickiego, czy mają dużo Polaków przyjaciół w Konstantynopolu?

Nowicki odpowiada, że głównym ich przjacielem, opiekunem i dobrodziejem jest ksiądz Mikołaj Kiefer, Polak z Poznańskiego, proboszcz kościoła St. Maria

Draperis na Pera, że jest on im największą we wszystkiem pomocą, bo i do rządu tureckiego za pośrednictwem hr. Ostroroga trafi, i do ks. Arcybiskupa Sardi i niejedno już dla nich zrobił.

Na pożegnanie prowadzą nas Nowiccy na piętro, gdzie mają cztery bardzo porządnie urządzone gościnne pokoje i namawiają, by zostać na noc w Adampolu, to będziemy mieć czas poznać wszystkich kolonistów, pomówić z nimi, i lepiej jeszcze o wszystkiem się wywiedzieć.

Żałujemy istotnie, że nie wybraliśmy się na noc, ale nie mamy nic ze sobą, konie czekają koło prawej drogi i trzeba nam się spieszyć, by zdążyć do ostatniego statku odchodzącego z Beicos do Konstantynopola.

Pożegnani serdecznie przez Nowickich wracamy, oglądając po drodze cmentarz, i mijając plebanję, mały parterowy domek, w którym się mieści i mieszkanie księdza i kapliczka, skręcamy na wydeptaną przez bydło ścieżynę, idącą w górę.

Furmana, który przyniósł nam kosze ze śniadaniem już niema, wrócił bowiem odrazu z pustymi koszykami do swoich koni. Idąc z kwadrans przychodzimy do węzła kilku rozchodzących się na różne strony ścieżyn. Tłumacz nasz, prowadzi nas śmiało na jednę z nich. Tymczasem po półgodzinnem może pochodzie, orjentujemy się wszyscy, że poszliśmy źle. Co robić?

Tłumacz zrozpaczony radzi wracać się z powrotem do Adampola. Patrzę na skłaniające się ku zachodowi słońce i widzę, że idziemy w całkiem przeciwnym kierunku. Wracamy, ale natrafiamy znowu na całą sieć w rozmaite strony wśród gęstego lasu wijących się ścieżyn.

Co tu robić? Nie trafimy już z powrotem do Adampola.

Perspektywa nocowania w lesie nie uśmiecha się zwłaszcza paniom, które nabiły sobie głowę tem, co Nowicki mówił o rozbójnikach i wilkach. Idziemy czas jakiś przed siebie i na szczęście spotykamy w lesie jakiegoś starego Turka w turbanie na głowie z koniem obładowanym koszami. Bierzemy go za przewodnika i idziemy za nim szybko na przełaj przez las wpadając co chwila w jakieś wykroty maskowane grubą pościołką liścia. Po długim bardzo uciążliwym marszu doprowadza nas wreszcie stary Turek, który jak się pokazało umiał parę słów po polsku, do nowej drogi i naszych koni.

Pokazało się, że dobrą godzinę drogi przyczyniliśmy sobie błądzeniem po lasach, i że idąc dalej w tym kierunku, jakeśmy się zapędzili, doszlibyśmy do morza Czarnego.

Ruszamy na dół, i więcej idąc, jak jadąc, dostajemy się szczęśliwie na czas do Beicos i w parę minut potem odpływamy parowcem przez ciemno szafirowe za nami, a złote i świetliste przed nami wody Bosforu.

Słońce kryje się rychło za góry europejskiego brzegu i około nas rozpoczyna się jakby szereg najdziwniejszych i najcudowniejszych efektów świetlnych i ciągle zmieniających się barw na górach, niebie i na jasno złotym, potem coraz ciemniejszym, miedzianym, pomarańczowym, wreszcie blado seledynowym Bosforze.

Zmrok szybko zapada. Na obu brzegach Bosforu zapala się tysiące świateł. Coraz ich więcej, coraz gęstsze i jaśniejsze, wyżej nieruchome, a niżej igrające w ruchliwej fali ich odbicia, wreszcie od zakrętu przy Orta Keni cały rój czepiających się gór świateł. To Galata i Pera, a dalej przed nami Złoty róg i Stambuł, a na lewo w oddali mdławe światełka azyatyckiego Skutari i Haider Pascha.

Przybijamy do schodków przy nowym moście Złotego rogu, otacza nas gwar i ścisk tego najruchliwszego może na świecie przejścia i koło 8 wieczór dostajemy się koleją podziemną na wysoką Perę i do naszego hotelu,

Następnego dnia odwiedzamy ks. Mikołaja Kiefera. Staruszek to już 70-letni, zakonnik, przełożony zgromadzdnia braci mniejszych i zarazem proboszcz kościoła St. Maria Draperis.

Adampolem zajmuje się z całem oddaniem, i gdy się mu mówi, że chciałoby się Adampolanom pomódz, aż mu się oczy świecą.

Opowiadam mu, że będę próbował starać się o pomoc pieniężną na postawienie kościółka w Adampolu i że mam nadzieję, że Sejm galicyjski zechce może przyjść z pomocą, że wreszcie chciałbym się udać do naszych biskupów, z prośbą o wynalezienie księdza polskiego dla Adampola.

Ks. Kiefer ściska moje ręce z radością, radzi jednak być przedtem u Arcybiskupa miejscowego ks. Sardi i z nim najpierw o tem pomówić.

Uznając słuszność tej uwagi, jedziemy razem do Arcybiskupa. Poznajemy niesłychanie miłego z wyrazem wysokiej inteligencyi i wielkiej dobroci w oczach 60-cio letniego może Biskupa z długą szpakowatą brodą.

Z rozmowy z ks. Arcybiskupem Sardi widzimy odrazu, jak bardzo, i jak szczerze zależy mu na tem, by Adampol mógł mieć, jaknajprędzej swój kościołek i polskiego księdza i nauczyciela.

Przeciwny jest jednak temu, by księdza od nas z kraju posyłać. Powiada, że byli już w Adampolu księża z Polski, ale tacy, że coprędzej trzeba ich się było pozbyć. I nic dziwnego powiada. Najlepszych waszych księży nam nie dacie. Najlepsi od was do Adampola

nie pójdą. Chyba żeby się trafił człowiek z niesłychanem poświęceniem i powołaniem na pustelnika. Adampol mimo cudnej okolicy — to przecie wygnanie. Ani o dużych dochodach, ani o wygodnem jako tako życiu, ani o rozrywce jakiejś nie może tam być mowy.

»Jabym« mówił dalej ks. Arcybiskup »inny podał projekt«. Mamy tu w Konstantynopolu zakon O. Salezyanów. Jest w nim kilkunastu księży i braci Polaków, ludzi zacnych i pełnych poświęcenia. Zakon zajmuje się oprócz pracy misyonarskiej także uczeniem dzieci, i to w kierunku praktycznym. Uczą też rolnictwa i różnych rzemiosł.

Gdybyście więc Państwo — mówił Arcybiskup — zdołali wystarać się dla Adampola o pomoc pieniężną, choć 10 do 15·000 franków to postawilibyśmy w Adampolu kaplicę i klasztorek, osadziłbym tam dwóch najlepszych polskich księży Salezyanów i braciszka. Jeden z księży sprawowałby obowiązki duszpasterskie, drugi przy pomocy braciszka prowadziłby szkołę, uczyłby ludzi rolnictwa i rzemiosł także.

Gdyby do Adampola przyszedł świecki ksiądz i okazał się nieodpowiednim, to nie mógłbym go się tak łatwo ztamtąd pozbyć. Z zakonnikami rzecz inna. Gdybym się bowiem pomylił i posłał tam nieodpowiednich, to każdego czasu mogę ich odwołać i innymi zastąpić.

Życzeniem powodzenia w zamierzonych naszych usiłowaniach i zapewnieniem, że kocha bardzo swoich Polaków, pożegnał nas ks. Arcybiskup.

Odnieśliśmy wrażenie, że gotów jest z całą usilnością wziąść sprawę budowy kościółka i klasztorku w Adampolu w swe ręce.

Czy tylko w kraju znajdzie się na ten cel ofiarność? Czy Sejm uwzględni petycyę tej garści zapomnianych wśród azyatyckich lasów polskich wygnańców?

Mamy nadzieję, że tak. Adampol posiada wszystkie warunki rozwoju, jako polska kolonja.

Wynarodowienie tam nie grozi. Koloniści mówią wszyscy czysto po polsku i czują po polsku.

Umocnić ich w tem i dać im polski kościół i szkołę jest naszym obowiązkiem, jeżeli chcemy tę małą wschodnią placówkę zachować dla przyszłości naszego narodu.

Dr. Jan Hupka.

Listy z Ameryki Północnej.

Tragikomedya ze Zbyszkiem. — Polacy stracili na zakładach kilkaset tysięcy dolarów. — Wczoraj ubóstwiany „bohater narodowy“ dziś przeklinany przez wszystkich. — Na czem polega „sport“ w Ameryce i gdzie tkwi jego siła hipnotyczna.

Chicago, 4. czerwca 1910.

Przez dziewięć miesięcy żyliśmy tu pod znakiem Zbyszka.

Nie było w krótkich dziejach wychodźtwa polskiego w Ameryce dotąd żadnego wypadku, żadnej sprawy, którąby tak niepodzielnie, tak bez żadnego wyjątku, jakimś niewytłomaczonym szałem opanowała wszystkich, jak występy tego atlety i zapaśnika przez dziewięć miesięcy niepokonanego.

Zbyszko — Cyganiewicz był naszym bożyszczem; ogłosiliśmy go bohaterem narodu; gazety poświęcały mu połowę miejsca na swoich szpaltach, głosiliśmy jego sławę portretami w najrozmaitszych pozycyach, zasypywali setkami dyplomów honorowych najrozmaitszych towarzystw naszych, obsypywali kwiatami i wieńcami na każdym niemal występie, a on »kładł na obie łopatki« kogo tylko spotkał na swojej drodze

do sławy »championa nad championami«, kładł po dwóch i trzech jednego wieczora, w ciągu jednej godziny i zagarniał dolary.

Nie oparł mu się nikt!

Nawet »niezwyciężony« Gotch, w próbnem spotkaniu przed kilku tygodniami nie dał mu rady w Buffalo i — postanowiono, że dnia 1. czerwca odbędzie się walka ostateczna o tytuł i »pas championski« w Chicago.

Rzecz poprostu wytłomaczyć się niedająca! My, ludzie spokojni, w całości oddani pracy na kawałek chleba, którym nigdy w głowie nie postał żaden »sport«, z których większość nawet żadnego pojęcia o zapasach nie miała, tysiącami zalegaliśmy areny, wydając zarobek kilku dni za bilety wstępu, a przy pracy, wszędzie i na każdem miejscu, przez dziewięć miesięcy o niczem nie mówiliśmy, jak tylko o zapasach, o Zbyszku i o jego przeciwnikach.

Doszło do tego, że w Washingtonie trzeba było odroczyć sesyę kongresu narodowego, bo do stolicy przyjechał Zbyszko, wystąpił w jednym z teatrów i pociągnął prawie wszystkich delegatów na widowisko.

Szał prawdziwy ogarnął Polaków amerykańskich.

A nie myślcie, że pieniądze wydane na niesłychanie drogie bilety wstępu na zapasy, stanowiły nasz jedyny wydatek... Poszło na nie kilkadziesiąt, może kilkaset tysięcy polskich dolarów, ale ile poszło na zakłady, tego nigdy się nie dowiemy.

W Stanach Zjednoczonych niema loteryi liczbowej, rujnującej biedniejszą ludność wielu krajów europejskich, kwitnie zato w najlepsze hazard innego rodzaju — zakłady.

Prawdziwy Amerykanin zakłada się przy każdej sposobności i na wszystko. Zakłada się w czasie wyborów, zakłada się o to, co będzie — syn czy córka,

o pogodę na dzień następny, a już bez miary poprostu idą zakłady na wyścigi końskie, automobilów, zapasy i wszystkie gry sportowe. Zakładają się zaś nietylko widzowie bezpośrednich wyścigów, zapasów i walk rozmaitych, ale wszyscy — i wszędzie. Dzienniki po większych miastach wydają w sezonie co godzinę specyalne wydania sportowe, rozchwytywane w milionach egzemplarzy przez tych, którzy porobili zakłady. Po wszystkich miastach istnieją formalne (chociaż prawem zakazane) biura przyjmujące zakłady. Istnieją tysiące i tysiące pokątnych szulerni, w których ludzie tracą majątki i za pośrednictwem których bandy zawodowych »sportowców« bogacą się niesłychanie.

A pierwsze skrzypce w organizacyi tego całego ruchu grają w Ameryce, jak już niejednokrotnie skonstatowano... Żydzi. Zaś wynik walki, wyścigów, gry w piłkę itp., bardzo często jest uplanowany z góry, przez syndykaty sportowe, które uprzednio przy pomocy swej organizacyi obejmującej cały kraj, znaczne sumy wyłożą na zakłady.

Ogłasza się wówczas, że na taki a taki wynik walki tu, tam i owdzie złożona jest taka a taka suma. W ostatniej walce Gotcha ze Zbyszkiem we wszystkich miastach stały zakłady po sto, pięćset, tysiąc i więcej, aż do pięciu tysięcy dolarów, zapowiadając pierwszeństwo pierwszego. Kto sumę zapowiedzianą chciał wygrać, składał o połowę niższą, oczywiście ryzykując pieniądze w razie przegranej Zbyszka.

Sam syndykat sportowy — jak twierdzą wtajemniczeni rozesłał na przynętę po całym kraju ćwierć miliona dolarów. A cóż dopiero mówić o prywatnych zakładach.

Polacy dotąd trzymali się zdala od takiego hazardu; nieliczne wyjątki tylko pomiędzy nami zaliczane są tutaj do »sportów«.

W ostatnich dopiero miesiącach jakiś szał opanował całe masy, całe kolonie. Tysiącami szli na zapasy, a dziesiątkami tysięcy robili zakłady i przez dziewięć miesięcy wygrywali często nawet dość znaczne sumy...

Na rynku sportowym amerykańskim pojawił się nowy żywioł — Polacy. Syndykat ocenił dobrze nietylko fizyczną siłę Zbyszka i... kupił ją — za sumę, jak ogólnie się tu nietylko mówi, ale i pisze publicznie, bardzo wysoką.

Niezwyciężony Zbyszko legł »przygwożdzony do materaca« pierwszy raz w przeciągu 6 sekund, drugi w 27 minutach.

Przy pomocy tego pierwszego zwycięstwa Gotcha, którego nikt, absolutnie nikt, nie mógł przewidzieć, jeszcze w ostatniej godzinie pomiędzy 10000 widzów »maszyna« zebrała, jak obliczają, około sto tysięcy dolarów!...

Puszczono na widownię całą masę agentów z pieniędzmi, którzy stawiali bajeczne oferty na zakład, że Zbyszko legnie w pięciu minutach, w trzech, w dwóch, w minucie.

Wyobraźcie sobie Polaka, który tyle się naczytał o Zbyszku niezwyciężonym, do którego przychodzi Ajrysz i składa 50 dolarów przeciw jego dziesięciu, że Gotch położy Zbyszka w minucie. Polak bez namysłu położył dziesiątkę...

I wszyscy przegrali! Nietylko Polacy! Przegrali rozłakomieni na pieniądze Niemcy, Ajrysze, Amerykanie, bo nikt nie przypuszczał, że Gotch przy powitalnym uścisku rzuci się do nóg Zbyszka i odrazu powali go na ziemię.

Sędziowie orzekli, że taki »chwyt« w systemie amerykańskim »chwyć, gdzie chwycić możesz« jest dopuszczalny i prawidłowy...

Tak to zbliska wygląda owa nasza »duma na-

rodowa« — owo podniesienie imienia polskiego przez Zbyszka i jego zapasy...

Nietrudno sobie wyobrazić jakiemi klątwami huczą teraz kolonie polskie, jakie przekleństwa sypią się na głowę ubóstwianego wczoraj Zbyszka — niesłusznie!

Bo Zbyszko od pierwszej chwili, gdy wylądował w Ameryce, wszystkim, którzy go na piedestał »bohatera narodowego« wciągali, oświadczył, że jest tylko atletą, że przyjechał do Ameryki po dolary i że niczem nie zasługuje na żadne wyróżnienia.

Przed ostatnią zaś walką publicznie, listami do prasy wysłanymi, ostrzegał przed zakładami na siebie, zapowiadając, że może być pokonany.

Bardzo mało było takich, którzy usłuchali przestrogi.

Stanisław Osada.

Urzędowa informacya dla emigrantów udających się do Kanady.

Jeneralny gubernator Kanady rozporządzeniem z dnia 12. marca 1910 l. 458 zarządził, że rozporządzenie z 11. września 1908, którem oznaczono wysokość środków pieniężnych, jakie każdy emigrant po przybyciu do Kanady ma posiadać, znosi się i w miejsce tego rozporządzenia mają obowiązywać następujące przepisy:

I. Każdy emigrant, mężczyzna czy kobieta, o ile nie jest członkiem rodziny, w myśl następnych dalszych postanowień, który z zamiarem udania się do Kanady lub też do któregokolwiek z jej portów i to w czasie od 1. marca do 30. października włącznie,

musi — i to jest bezwzględny warunek pozwolenia wstępu do Kanady — posiadać jako osobistą własność gotówkę w wysokości 25 $. (t. j 125 koron), a oprócz tego wykazać się nabytą już kartą jazdy aż do swego miejsca przeznaczenia w Kanadzie, względnie wykazać się, że posiada odpowiednią ilość pieniędzy do kupienia tej karty.

II. Jeżeli emigrant zamierzający osiąść w Kanadzie pod warunkami pod 1) wymienionymi jest głową rodziny i towarzyszy mu rodzina albo jeden lub więcej członków tejże, to postanowienia w ustępie pod 1) podane do takiej rodziny względnie jej członków nie mają zastosowania, jednakże odnośny emigrant, który jest głową rodziny, musi prócz wyżej wymienionej kwoty pieniężnej tudzież środków wymaganych w sposób powyższy do swojej dalszej podróży, posiadać jeszcze dalszą, będącą bezwarunkowo jego własnością osobistą sumę pieniężną, a mianowicie w wysokości S. 12.50 (t. j. 62.50 koron) dla każdego członka rodziny będącego w wieku od 5 do 18 lat, a oprócz tego karty jazdy lub też sumę pieniężną, wystarczającą na pokrycie dalszych kosztów podróży dla wszystkich członków rodziny aż do ich miejsca przeznaczenia w Kanadzie.

III. Każdy emigrant, który przybędzie na granicę Kanady lub też do któregokolwiek z jej portów w czasie między 1. listopada a ostatnim lutego włącznie — musi również zastosować się do powyższych postanowień przyczem jednakże S. 50 (t. j. 250 koron), zamiast S. 25 (t. j. 125 koron) i S. 25 (t. j. 125 koron) zamiast S. 12.50 (t. j. 62 K. 50 gr.) wstawić należy w te miejsca, w których jest mowa o kwotach pieniężnych S. 25 i S. 11.50.

VI. Agenci emigracyjni w różnych miejscach i portach przyjazdu, są obowiązani czuwać nad tem, aby powyższe rozporządzenia były przestrzegane.

Wyjęte są tutaj tylko te przypadki, w których agent emigracyjny pomimo braku któregoś z wyż wymienionych postanowień, jest upoważniony uwolnić emigranta od skutków tych postanowień, o ile zostanie w sposób zadowalniający udowodnionem:

a) że emigrant, o ile jest mężczyzną, udaje się jako robotnik rolny do zatrudnienia na pewne mu przyobiecanego i posiada środki potrzebne do przybycia na miejsce swego zatrudnienia, albo

b) że emigrantka wstępuje do pewnie jej przyobiecanej służby domowej i posiada środki potrzebne do przybycia na miejsce swego zatrudnienia, albo

c) że emigrant, mężczyzna czy kobieta, należy do niżej wymienionych kategoryj i będzie mieszkał u jakiegoś krewnego z niżej wymienionych kategoryi, który to krewny nietylko zgadza się ale także jest w możności go wyżywić, a oprócz tego że emigrant ten posiada środki wymagane do przybycia na miejsce zamieszkania tego krewnego.

I. Żona, która udaje się do męża.

II. Dziecko, które udaje się do rodziców.

III. Brat lub siostra udająca się do brata.

IV. Małoletni, którzy udają się do zamężnej lub też samoistnie utrzymującej się siostry.

V. Rodzice, którzy udają się do syna lub córki.

ROZMAITOŚCI.

Kółka rolnicze a P. T. E. Na zjeździe delegatów Kółek rolniczych, odbytym w dniach 5 i 6 b. m. wygłosił poseł Wasung interesujący referat na temat

wychodźtwa zarobkowego, poczem na wniosek jego uchwalone zostały następujące rezolucye:

1) Rada Ogólna poleca Zarządowi, aby zajął się opieką nad wychodźtwem, tak zamorskiem, jak sezonowem i przez omawianie spraw wychodźczych na zebraniach, zbieranie dat i informacyj, dał podstawę do stworzenia organizacyi ogólnokrajowej wychodźców;

2) Rada ogólna załeca Kółkom rolniczym i zarządom powiatowym, aby w interesie ludności wiejskiej popierały Polskie Tow. Emigracyjne.

Na wniosek p. Dra Witolda Lewickiego uchwalone zostały jeszcze następujące dodatkowe rezolucye:

1) Rada ogólna uchwala starać się o konsulat amerykański we Lwowie:

2) Uprasza rząd, aby w konsulatach austryackich w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej, jeśli już nie konsulami, to przynajmniej urzędnikami drugorzędnymi byli Polacy:

3) Uprasza się rząd krajowy, aby zwrócił uwagę na pokątne agencye emigracyjne, w gminach wiejskich bez upoważnienia działające.

W dyskusyi nad rezolucyami temi, uchwalonemi jednomyślnie, zabierali głos pp. dyr. Okołowicz, sędzia Matakiewicz, prezes Jan Gwalb. Pawlikowski i prof. Grabski.

Biuro P. T. E. w Paryżu. Kierownik paryskiego biura P. T. E. p. Dominik Iwanowski, został ze stanowiska swego przez dyrekcyę P. T E. odwołany. Nominacya jego następcy jeszcze nie nastąpiła, a agendy biura paryskiego zostały przydzielone agencyi P. T. E. w Nancy.

Wychodźtwo polskie do zachodnich dzielnic Rzeszy niemieckiej rośnie z każdym rokiem. O wzmożonym tym ruchu polskim świadczy najwymowniej statystyka, stwierdzająca napływ Polaków podczas piętnastolecia (1890—1905) w następujących okręgach

Było Polaków	w r. 1890	w r. 1905
w Recklinghausen (miasto) .	716—	9·250
w Recklinghausen (wieś) . .	4·541—	28·672
w Dortmundzie (wieś) . . .	1.699—	18·672
w Bochum (wieś)	4.159—	17·575

A dalej — stwierdzają gazety niemieckie —

w piętnastoleciu swem (1890—1905) przypływ Polaków wykazuje w obwodzie dyseldorfskim, 876 odsetek. Zatem w obwodzie dyseldorfskim ludność polska w tym czasie z 4·672 wzrosła do 45·623, w arnsberskim z 20·131 do 97·703 w monasterskim z 5·490 do 40 723.

Oprócz zachodnich dzielnic przemysłowych również Berlin i okolica stały się środowiskiem przyciągania Polaków. W piętnastoleciu 1890—1905 liczba polskiej ludności w Berlinie podwoiła się z 12·000 postępując do 24·000. A w obwodzie potsdamskim nawet się potroiła, z 9·000 na 30·000

W sprawie wychodźtwa ogłosił współpracownik naszych czasopism i kierownik biura warszawskiego Towarzystwa opieki nad wychodźcami p. Wojciech Szukiewicz doskonały artykuł w »Bibliotece Warszawskiej«. Artykuł ten pod tyt.: »Sprawa wychodźtwa« wydany został w odbitce i szczegółowo omawia zadanie towarzystw, stawiających sobie za cel opiekę nad wychodźcami.

W sprawie emigracyi ogłosił p. Szukiewicz obszerny artykuł również w ostatnim numerze »Ekonomisty«.

Poseł Dr. German w sprawie emigracyi wygłosił w parlamencie wiedeńskim w dniu 15. bm. dłuższą mowę pełną trafnych uwag i spostrzeżeń, poczem zaproponował następujące rezolucye, które Izba Posłów uchwaliła:

1) Wzywa się c. k. Rząd do przedłożenia Radzie państwa w jaknajkrótszym czasie prawa odnośnie do całej kwestyi emigracyjnej, odpowiadającego współczesnym poglądom prawnym i potrzebom kulturalnym.

2) Wzywa się c. k. rząd do stworzenia dokładnej statystyki emigracyjnej

3) Wzywa się c. k. rząd do wpływania na wspólny c. i k. rząd, aby w zamorskich krajach przesiedleńczych ustanawiani byli w większej liczbie konsulowie zawodowi zamiast konsulów honorowych przyczem należy uwzględnić, by konsulowie i urzędnicy konsularni byli w stanie porozumiewania się w ojczystym języku z wychodźcami, którzy zwracają się do nich o informacye lub pomoc.

Doskonałą mowę posła Germana ogłaszamy na innem miejscu tego numeru według protokółu stenograficznego.

Obchody grunwaldzkie w Ameryce północnej. Jak donosi »Zgoda« na ostatniem zebraniu 85 delegatów towarzystw polskich ze stanów New York, New Jersey i okolicy ułożono program obchodu grunwaldzkiego. Ze sprawozdania finansowego okazuje się, że w kasie głównej znajduje się 927 dolarów, to jest 4·635 koron. Przyjęto następującą rezolucyę:

»Fundusz pozostały po obchodzie grunwaldzkim uważać jako kapitał żelazny, nienaruszalny, aż do chwili, gdy zajdzie potrzeba złożenia go na Ołtarzu Ojczyzny. O wydaniu go zadecydować ma przynajmniej dwie trzecie ogólnej liczby delegatów towarzystw, biorących udział w obchodzie. Odsetki tego kapitału obracane będą na cele oświatowe, któremi rozporządzać będzie komitet wybrany przez tychże delegatów na rok jeden po skończonym obchodzie«.

Biskup polski w Chicago, ks. Rhode, przybędzie na obchód, który odbędzie się dnia 12. lipca br.

W Milwaukee — jak donoszą tamtejsze »Nowiny Polskie« — wszyscy gorliwie pracują nad urządzeniem obchodu grunwaldzkiego. Na posiedzeniu wydziału ogólnego komitetu, w hali św. Jacka, księża oświadczyli, że pragną wszelkiemi siłami przyczynić się do uczczenia 500 rocznicy pogromu Krzyżaków, byleby tylko zgoda panowała. Przyobiecywali, że zapowiedzą z ambon w kościołach składki i postarają się, aby dzieci szkolne wzięły udział w pochodzie.

Obchód grunwaldzki a Litwini. W kwestyi obchodu rocznicy Grunwaldu — jak donosi »Viltis« — Litwini amerykańscy zamierzają na rozmaite sposoby upamiętnić jubileusz 500-letni tej tak doniosłej sprawy dziejowej. Litwini chicagoscy więc zbierają ofiary celem wydania księgi historycznej »O bitwie pod Grunwaldem«. Litwini brooklyńscy uchwalili zbieranie ofiar w celu założenia muzeum historycznego w Wilnie, zaś Litwini filadelfijscy na pamiątkę grunwaldzką postanowili urządzić dla siebie dużą księgarnię.

Zjazd Towarzystwa Szkoły Ludowej odbył się w Krakowie w dn. 13 i 14. b. m. Na zebraniu inau-

guracyjnem przemawiał w imieniu P. T. E. dyr. Okołowicz, podnosząc, że im więcej w kraju naszym będzie elementarzy, szkół i nauczycieli tem mniej obywateli zmuszonych będzie dla poprawy bytu opuszczać kraj rodzinny i szukać kawałka chleba na obczyźnie, albowiem najlepszym środkiem zaradczym na nadmierny ruch emigracyjny jest podniesienie ogólnej oświaty i dobrobytu.

Polacy amerykańscy w Krakowie. Na obchód rocznicy grunwaldzkiej przybyło do Krakowa kilkudziesięciu Polaków z Ameryki, w tej liczbie pp. Maryan B. Stęczyński, prezes Związku Narod. Polskiego, R. S. Abczyński z Pittsburga, Wicecenzor Związku Narod. Polsk., Redaktor Dangel z Chicago, Ks. W. Zapała, rektor kolegium im. św. Stanisława Kostki w Chicago, P. Stanisław Adamkiewicz, prezes Zjednoczenia Polskiego Rzymsko-katolickiego. Dr. Fronczak z Buffalo, pani Dr. Dowiatt Sas z Chicago, p. Herman, delegat Unii polskiej z Chicopee, Mass, Ks. Stanisław Fimowicz, p. Joanna Kozakiewiczowa z synem Leonem z Chicago, p. Karol Szypulski z Utica, bracia Józef i Edmund Obecni z Chicago, p. Józef Piekarski z Chicago, p. Jan Walus z Utica i kilkunastu Sokołów.

Pan R. S. Abczyński przywiózł dar dla Towarzystwa Szkoły Ludowej, zebrany przez Polaków w Pittsburgu w kwocie czterystu kilkudziesięciu koron, nadto zaś obydwaj delegaci P. Z. N. przywieźli adres hołdowniczy Z. N. P. przeznaczon y dla miast Krakowa.

W szkatule, pokrytej safianem amarantowym, podbitej białym atłasem, znajduje się adres w oprawie, także z safianu amarantowego, w kształcie albumu. Brzegi oprawy są bogato złocone, w rogach znajdują się cztery godła Związku narodowego polskiego, emaljowane w złocie, w środku zaś monogram szczerozłoty Związku.

Adres na pergaminie, odbity pięknym gotykiem iluminowanym, z ozdobnymi inicjałami, zawiera na pierwszej tytułowej karcie napis: »Związek narodowy polski w Ameryce królewskiej stolicy Piastów, Jagiellonów, Batorych« — Miastu Krakowowi — Cześć, Pokłon, Pozdrowienie«.

Na dalszych kartach następujący znajduje się adres:

»Z odległej ziemi, kraju wolności i swobód obywatelskich, wywalczonych współudziałem bohaterstwa synów Polski — Kościuszki i Pułaskiego, składamy u stóp mogiły siermiężnego naczelnika pokłon Macierzy, a cześć i uwielbienie nigdy niewygasłej a świętej dla potomków, pamięci naszych królów, bohaterów, wieszczów, mężów mądrej rady i wielkich czynów, twórców potęgi i chwały narodu przeszłej, oraz przewodnikom jasnym płomieniem ducha wiodącym nas do chwały przyszłej.

»Lud nowej Polski za oceanem przesyła uroczyste zapewnienie niezmiernego przywiązania do ziemi ojczystej i wiernych służb Macierzy. — Ojczyźnie.

»Cześć i pokłon wielkim duchom opiekuńczym narodu, których ciała w grobie! Cześć i pozdrowienie dobrym synom Ojczyzny — żywym stojącym na straży »arki przymierza między dawnemi a młodszemi laty« i wiodącym naród do świetlanej przyszłości.

»W Chicago, dnia 15-go lipca roku pańskiego 1910, roku 500 od pogromu krzyżaków pod Grunwaldem.«

Następują podpisy:

Am. Schreiber, cenzor Związku nar., Roman L. Abczyński, wicecenzor, Maryan B. Stęczyński, prezes, Filip M. Ksycki, wiceprezes, Szymon J. Czechowicz, sekr. jen., Michał Majewski, skarbnik, Tomasz Siemiradzki, dyr., Jan B. Wlekliński, dyr., Michał Kmiecik, dyr., Michał Wojtecki, dyr., Marja Sakowska, dyr., Nikodem K. Złotnicki, dyr., Józef J. Hermanowicz, dyrektor.

Podobny adres zawiozą pp. Stęczyński i Abczyński do Lwowa dla tamtejszej Rady miejskiej.

W sprawie parcelacyi. »Tygodnik Suwalski« zaznacza, że dobrym terenem dla osiedlania ludu wiejskiego byłyby gubernia suwalska i łomżyńska, stosunkowo mało zaludnione. Ruch parcelacyjny w tych guberniach dopiero się rozpoczyna, chociaż cena morga gruntu wynosi tam 50 do 75 rubli, najwyżej zaś 100 do 125 rb.

Słusznie przecież pismo to dowodzi, że w tych guberniach właśnie powinnyby powstać organizacye,

któreby lud wiejski przekonały, że lepiej szukać szczęścia tam właśnie, a nie na Syberyi. Sprawą tą zająćby się powinny Towarzystwa rolnicze w Łomży i Suwałkach, które jedynie narazie orzec mogą, czy istotnie w tych guberniach jest pożądana parcelacya i czy lud z innych okolic znajdzie tam ziemię do nabycia.

O kościół polski w Londynie. Wskrzeszona w Londynie w r. 1894 z inicyatywy kardynała Vaughana Misya polska zajmuje się już od dłuższego czasu zbieraniem pieniędzy na budowę kościoła polskiego, któryby był własnością kolonji polskiej pod zwierzchnictwem miejscowego arcybiskupa. Komitet budowy kościoła — jak głosi wydana świeżo odezwa — ma za zadanie stworzyć ognisko stałe, narodowe w Londynie, gdzieby kościół, biblioteka, czytelnia i szkółka były punktem oparcia kolonji polskiej, by w ten sposób uchronić garstkę ludu naszego od zagłady moralnej i narodowej. Brak nam tylko funduszów, by zabezpieczyć w przyzwoitej i dla naszych ziomków dogodnej dzielnicy, odpowiednią miejscowość na budowę kościoła i wynieść się z tymczasowej kaplicy, urządzonej w dawnej Ochronie dla marynarzy przy dokach, w nędznej okolicy.

Komitet odpowiada tylko za składki na ręce jego członków przysłane, każdy grosz się zapisuje i wypłaca do banku. Zebranego funduszu było około 1100 funt. szt. (22000 mk.), lecz z tego pp. skarbnicy wypłacili 425 funt. szt. na wynajęcie obecnej kaplicy.

Uprasza się przesyłać składki na ręce ks. biskupa Likowskiego w Poznaniu, lub też p. skarbnika H. Pace Esq., 23 Old Square Lincoln's Inn. London W. C.«.

Drukarnia „Prawdy", Kraków, Stolarska 6, pod zarządem Józefa Jondry.
Odpowiedzialny redaktor i wydawca Józef Okołowicz.